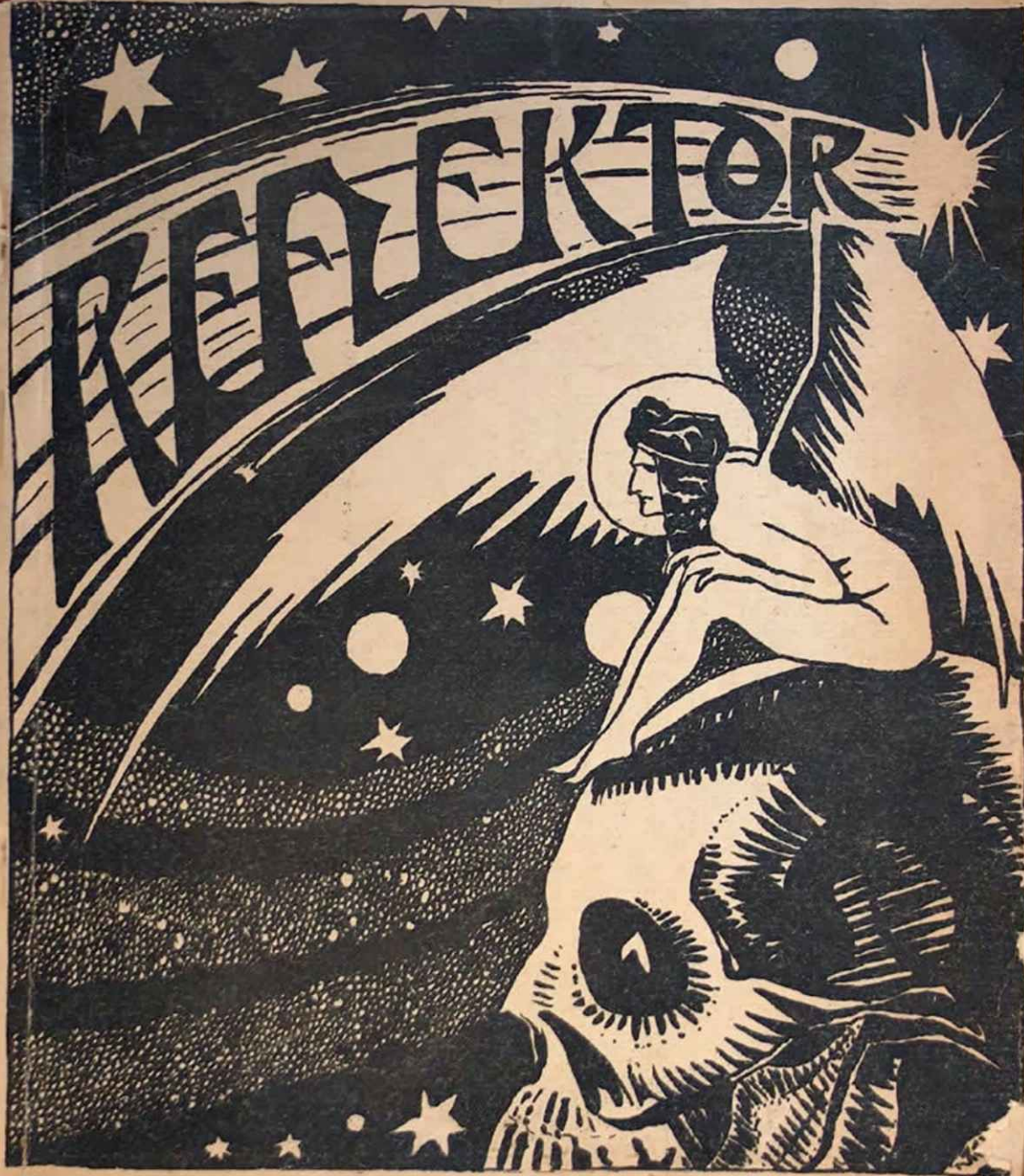




- Lot Huron
Richmond



REFLEKTOR

Pismo literacko-artystyczne.

LUBLIN.

Czerwiec 1923.

Zjawiamy się nagle, młodzi i inni niż Wy, wśród gwaru targowiska kupców, faryzeuszy, straganiarzy — gromadka dzikich mustangów bez ust i wędzideł.

Nie przynosimy Wam porywających ideałów (te dawno spoczęły w lamusie przeszłości) ni wskazań Nadczłowieka.

Słoneczni własnem słońcem, kwieści ci jeno swej duszy kwiatami, rzucamy ich pęki, bo rzucać musimy.

Bez sztandaru z wizerunkiem świętego Izmu, bez hasel (te są nam zbędne), rzucanych wspólnie, wolni synowie Piękna, wędrujemy przez własne bezdroża.

Dla Was, wielcy ludzie, mamy uśmiech wesoły i figę zieloną w zanadrzu, coś więcej, niż pogardę, o grube brzuchy paskarskie, a dla Was, smutni i nieszczęśliwi, ciemne listki cyprysu.

Chcemy życie chwycić na gorącym uczynku, chcemy je w nową, nieznaną formę przelać.

Obce są nam programy partyjne, pseudo-altruistyczne lamenty, piękne lecz niepoparte dobrymi chęciami wykrzykniki o potrzebie pracy dla przyszłości.

Zamknięci w własnym świecie wewnętrznym, wyznajemy zasadę wyższości myśli nad Czynem.

Z przeogromnych fal zmienności, wiecześnie przepływających przez bezgraniczny ocean ducha ludzkiego, czerpiemy swą siłę i natchnienie twórcze.

Wszystko w nas i przez nas — oto nasz ołtarz i religja. Z otchłannych głębin własnej duszy wyczarowujemy nasze zjawy i wizje. Różnowzorzyste są one, różnobarwne i zwiewne, jak sny.

Nasz stosunek do tego, co zwie się światem zewnętrznym, realnym i t. d., jest jasny i prosty.

Archanielskie dzwony grają nam na odmienną nutę, niż starym pocziwym wieszczom. Przekreślamy spuścizną duchową Słowackiego.

Zjadaczy chleba bić w mordę, jeśli ich w aniołów przerobić nie można!

Z drogi, Synowie Ziemi, politycy, mężowie stanu, mądrkowie, znachorzy, znawcy sztuki, filantropi!

Cwałujemy, Bucefale przyszłości.

Redakcja.



KONIE.

ZA CHMURAMI, ZA GWIAZDAMI ROZDROŻA,
NA ROZDROŻACH ŁĄKĄ KWIECI SIĘ BOŻA;
TRZY KSIEŻYCE, TRZY SIERPY — OPALE
ROZSIEWAJĄ KRAŚNE ŚWIATŁA KORALE.

BIAŁE CIENIE, CZARNE NOCE MIGOCĄ —
ŚNIEŻNYCH KONI KARE ŚLEPIĄ SIĘ ZŁOCĄ,
MLECZNE HARFY CHICHOCZĄ TUŁACZO —
CZARNE RĘCE ROZPACZĄ W NICH PŁACZĄ.

NAJPIERW JEDEN, POTEM TYSIĄC MILJONY —
UDERZAJĄ PODKOWY, JAK DZWONY.
SIWE DROGI ROZHUKANE TĘTENTEM —
KOŃSKIM POTEM PACHNIEMY JAK ŚWIĘTEM.

NASZE ZJAWY HAFTOWANE GWIAZDAMI,
ZIELNĄ TRAWĄ, RUMIANKIEM, MAKAMI,
WYSZYWANE SREBRNEMI SŁOŃCAMI,
KRWI GORĄCEJ ZNACZONE KWIATAMI.

ANI STEPY MACIERZANKĄ PACHNĄCE,
RUDE GWIAZDY, BRONZOWE MIESIĄCE —
NIC NIE WSTRZYMA W POTWORNYM NAS LOCIE,
W BEZGRANICZNEJ NASZEJ KOŃSKIEJ TĘSKNOCIE.

TUMANAMI PRZEMKNIEMY, WIEKAMI,
ZAKWITNIEMY LILJOWYMI SADAMI,
TYLKO JESIEŃ ZA NAMI ZOSTANIE —
SŁOŃC ROZBITYCH PRZEPASTNE OTCHŁANIE.

WACŁAW GRALEWSKI.



OPOWIEŚĆ

O PAPIEROWEJ KORONIE.

PROLOG.

Zmienna jest w duszy ludzkiej fala unicestwień i stworzeń, a kolorowe miesiące wiosenne mijają w korowodzie słonecznych dni.

Lipiec — środek Lata.

Świt wstaje z mgieł i rośnie szara półjaśń w cichej komnacie. Nocna dysputa trwa dalej. Henryk, stojący przy oknie, mówi, patrząc na rozkwitłe grzędy maków, mówi, jakby do świtu wstającego, miast do ludzi, którzy go słuchają.

... Powiadacie, że jest los. Wierzycie w to straszdyło całą wiarą dusz głęboko przekonanych. Lecz ja nie umiem wierzyć w to, co ślepe. Zbyt byłbym wówczas podobny do ludzi, dla których najwyższym tragizmem jest tragedia winy i kary. — Przybyszewski wierzył w ślepy los, bo wierzył w konsekwencje winy. Powiadał, że kara jest, lecz winy niema. Wierzył jednak, że i wina jest, tylko ją uniewinniał i na niewspółmierność tych momentów skarżył się boleśnie. —

Jeśli nawet uderza nas ta arytmiczna, nieharmonijna twórczość mimowolna, to wyolbrzymienie kary, to i tak musimy to złożyć na swe barki, a nie na barki losu. Tworzymy sami winę i karę. I nieubłagalność tego następstwa leży w nas samych. ...

Tu poruszył się niespokojnie ksiądz Clarus, tonący w stosie miękkich dywanów i futer, rzuconych w kącie.

— Mistrzu, — rzekł — kocham twą duszę do szaleństwa, ale nie kocham twoich słów. One są inne niż ty. Czy ty nie czujesz wieczorem, gdy wschodzi księżyc nad pagórami, że jest On? Konieczność w nas samych, powiadasz; czemu ona nie przychodzi z zewnątrz? Od Niego?

Widać było, że Henryk uśmiechnął się lekko. Trzej jego przyjaciele patrzyli w niego, milcząc. Całą noc rozmawiali ze sobą, a on patrzył na gwiazdy, a teraz, gdy gwiazdy zbladły, mówił sam. —

— Jakże możesz mówić o czymś z zewnątrz, kiedy do nas nic z zewnątrz nie dochodzi. Każda dusza jest samotna i odcięta od reszty świata. Każda dusza ma tylko siebie i w sobie żyje. Jeśli jest błotem — błotem jest jej życie. A czasem jest jaśnią, a czasem dalą słoneczną, a czasem tytaniczną grozą. Bywają

i dusze, które szarpia naprzemian szal djonizyjski i spokojne piękno apollinijskie. Każdy jest sam, jak nurek na dnie morskiem. A ty mówisz o wpływach z zewnątrz. Glusiśmy i ślepi . . .

Kiedy umilkł, straszno i niespokojnie stało się w trzech duszach.

Ksiądz Clarus powtarzał w myśli: Każdy jest samotny . . .

Postumus Porco, ten, który zawsze sceptycznie traktował Henryka, zamyslił się głęboko. Pod zmarszczonem czołem czuć było pracę ciężkiej, z nienacka logicznej myśli. — Ważyły się tam możliwości psychiczne, jak matematyczne, dokładne wartości. Krytykował.

Zato obok, w błękitnych wielkich oczach Zygmunta błakał się smutek, dający świadectwo prawdzie. Ten istotnie był zawsze sam, z melancholijnem pięknem swego życia. Dziecię pól na bruku miasta.

Znowu głos Henryka przyciszony, gubiący się w makowej woni, która płynie z ogrodu wraz z wilgocią poranną.

— Słońce?

Jeszcze go niema. Tylko blask, tylko przedświt, złoćący się na jasnym niebie.

. . . Przedziwne piękno jest w śnie niedbałym pod jabłonkami pełnymi owoców. Błogosławiony jest bezwład i bezczynność, za którymi nie wlecze się tren następstw. Czyż nie tak, czyż nie tak, drodzy?

Lecz możesz być takiego spokoju czcicielem ten, w którym burzliwy wir się kłębi o każdej godzinie dnia? Obląkańcze kroki moje dążą do ciszy, wiem to napewno, ale dążą przez krainy, pośrodku których znika cel wędrówki. Teraz idę przez kraj grzesznej miłości.

Grzech powinien być wielki, jeśli się gra w duszy bolesnej. Powinien być widowskim z chórami, jak tragedia grecka. A mój jest jakiś dziwny, nie mierzący się miarą potęgi; jest tylko rozkoszny i straszny.

I powiecie znów, że wina — rozkosz, a poczucie grzechu — to już kara. Nie, nie, czyste duszyczki młodzieńcze. Ty, Clarusie, codzień mówisz o grzechu urbi et orbi, lecz nie znasz jego istoty. Ani ty Zygmuncie. Zaś Postumus zna sprośność, ale grzechu i rozkoszy nie zna . . .

Wspomniany porwał się z miejsca i mówił urywanym głosem:

. . . Ja czysty, czysty! Wierz mi, Sztuka i Myśl były zawsze ze mną. To, o czym myślisz, to etap na drodze Poszukiwania Życia. . . Niema winy! . . .

Henryk patrzył nań oczyma przymglonymi nurtującą go myślą:

— Kłamiesz . . .

Tyś jest tym, który ważył się na czyny podle. Tyś oderwał Marysię Daleką od Króla, by ją sobie rzucić pod nogi, a ona została sama z tęsknotą w sercu dziewczęcym. Tyś żądze wprowadził między nas czterech. Tyś głosił światu i rzucał na posmiewisko miłość Achillesa i Patrokla . . . Intrygancie!

Postumus skurczył się u boku Henryka i po chwili namysłu, patrząc na drgające gniewem Henrykowe usta, cedził przez zęby.

. . . Nie sądz innych, aktorze tragiczny . . .

I wyszedł.

A Henryk zwrócił się do księdza.

— Mówiliśmy o winie i karze. Zobaczycie wkrótce pokutę. On wróci. Bo serce jest w nim, tylko dusza spróchniała . . .

WIECZÓR ZE SOBĄ.

1.

Cicho skrsypnęły drzwi.

Pokój Henryka. Na ścianach w półmroku ciemnymi plamami zawisły obrazy i portrety. Madonna kwiatów. Twarz ojca. Dzieweczka jakaś z nasturcją we włosach. Pod Melancholją Dürera — portret Henryka. Patrzy uparcie w sztylet. Myśli o śmierci. A kiedy skrzypnęły drzwi, zachwiał się płomyk przytłumionej lampy i z kąta błysł oczy Henryka.

. . . To ty?

. . . Ja.

Stanął z boku lampy, tak, że widać jak długie i gęste ma rzęsy. Białe czoło bieleje w półmroku, oczy lśnią. Miłość przynosi i siebie całego w darze . . .

Przyszedł na wezwanie Henryka. Pierwszy raz jest oko w oko z rozkoszą. Helleński kształt odcina się wyraźnie na tle mroku. Cienka jedwabna materja pokrywa jego tors. Nogi ma nagie, jeno w biodrach przepasany ciężkim, purpurowym pasem kaszmirowym. Na pasie haft: Trzy Marje u grobu.

. . . Mistrzu, czemuś smutny? . . .

. . . Myślę . . .

. . . Odgoń myśl, jam jest miłość . . .

. . . A ja ból i groza . . .

Siadł przy Henryku. Cisza. Dłonie Henryka szukają jego drobnych dłoni. Gdy siedzą tak obok siebie, prąd potężny płynie przez złączone ręce, które są najdoskonalszym narzędziem rozkoszy. Szaleństwo zapala się w oczach Henryka, który w jego żrenicach widzi zarys swej twarzy płonącej gorączką.

I nagle pożar wybuchł w dłoniach drżących!

Słychać namiętny szept: Chcę ciebie . . . Chcę ciebie . . .

W przegięciu niedorzecznem pocałunek. Gorący i nieprzytomny. Potem głowa o przepyszej rzeźbie legła na kolanach Henryka, a ten wżera się ustami w białe, rozchylone usta Diadumena.

Cisza dzwoni tętnem krwi rozszalałej i echem obłędu. Gorączka w skroniach. Ocieężałość i ból w oczach. Lampa gaśnie.

I dobrze, niech będzie mrok.

Bije małe serce chłopięce, usta płoną żądzą całowania, jak omdlały mu leci przez ręce i u kolan bezsilnie się ślania. Jak namiętna jest dusza ta młoda, jakże dziwne jest to miłowanie: spotkanie, rozstanie, spotkanie, gniew i rozkosz — kwietniowa pogoda.

Henryk wychodzi.

Skrzypnęły drzwi, potem stuknęła furtka — poszedł do sadu.

Księżycy niema, ciemność, cienie drzew, majaki urojone . . . GROZA . . .

Henryk mówi:

Zbyt mało może człowiek i aż nazbyt wiele . . .

W taką noc nie może zwyciężyć samego siebie, nie może głębiny swej piaskiem zasypać. Nawet, jeśli tam brud, nawet, jeśli tam błotniste grzechy . . .

I tysiąc istnień sobie podobnych może zniszczyć: ogniem, dłonią krwawą, żelazem. My tu daleko na wschodzie.

Wichry wieją wieczne na tej wysoczyźnie, więc nie słysząc pochodu.

A gdy spojrzę na ciemne horyzonty, wiem, że przyjdzie stamtąd nawałnica. Zadudnią po drogach cielska dział i zatętnią kopyta hordy.

Może przyjść dzicz ze wschodu i w cichą noc rozżagwić niebo luną. Zginą miasteczka nad smutnymi jeziorami, zgłiszczą zostaną z wiosek.

I krew! . . . jak wiele krwi . . .

To może człowiek . . . Za wiele! za wiele!

I tak mało człowiek może . . .

Nie odepchnie oblężania, które się zbliża ku niemu szybkimi krokami.

Nie pokona lęku przed Nieznanem . . .

Skończył, niedomawiając.

Potworna cisza oczekiwania.

Wrzask targnął powietrzem:

„Aktor tragiczny!!! Ha! Ha!”

Kto krzyczy?

Wściekłość w sercu: Kto śmie mękę nazywać grą?!!

Drapieżne serce się burzy, krwi łaknie. I nagle widzi Henryk, że w tym nieokielznaniu tai się oblęd . . . i chce wybuchnąć. Lęk w sercu . . . lęk, chłód . . . Jakże blade jest to, co krystalizuje myśl, przeszedłszy uprzednio głębie duszy! A same uczucia jak silne!

W duszy przemyka myśl czająca się — czyhanie na siebie samego. Przemyka i znów wraca. Nurtuje i rośnie. Myśl szepce: Poco wszystko? A wiesz, co to wszystko? Lęk przed oblędem . . . Groza duszy ludzkiej? . . . Świadomość grzesznej miłości . . . Tragizm niewiary twojej . . . Tyle czerwiał duszę twą toczy! Skończ z tem . . . Skończ z tem! Skończ!

Krzyczy już kusząco i lasi się, jak chimera o tygrysiach łapach.

3.

Skrzypnęły drzwi.

Pokój Henryka ciemny, pusty jakiś i straszny.

Przypadł uchem do drzwi, za którymi roztacza się tęcza snów pani HANKI.

Lekki okrzyk: Koniec BAJKI! . . .

I grzmot w czterech ścianach komnaty!!!

Krzyki . . . szmery . . . stapania . . . Ktoś mówi: „Taki młody” . . . Inny głos: „Bawi się”.

Światła na korytarzu. Gwar.

Wnoszą lampę.

Dym się snuje. Proch pachnie.

Jak białe zjawisko, płynie ku niemu pani Hanka. Siada na łóżku jego i pyta:
Gdzie krew? Boli? . . .

Kobiecy, gibkim ruchem ukrywa w fałdach rewolwer i gładzi Henrykową głowę
bolesną. Igra z jego włosami:

. . . Coś ty chciał zrobić, Heniu, Heniu . . . Tylu żyje, tylu się męczy, ty
jeden nie możesz wytrzymać. Przrzeknij, że nie powtórzysz tego . . . Heniu . . .

A on majaczy w gorączce:

. . . Ręka drgnęła . . . Sił zbrakło drugi raz . . . Przekłete nerwy! . . .

Potem lzy płyną mu po białych policzkach i spadają na poduszkę. Zaciśnięte
wargi szepcą pomstliwie: Tchórz! . . . tchórz! . . . t h ó r z ! . . .

Potem otchłań gorączki i niepamięci, cały teatr widziadeł i snów.

Odruchy ostatnie dumnej woli:

. . . Precz . . . nie męczcie . . . nie chcę litości! . . .

I znów borykanie się ze śmiercią. Zjawy. Widma. Majaczenia.

TEATR W DUSZY.

SCENA PIERWSZA.

Henryk jest królem.

Stanął właśnie w katedrze wawelskiej, w dzień koronacji. Oczy ma spuszczone.
U stóp tyle dywanów, na których nogi biskupów i książąt w opiętych, zgrabnych
butach. Brat królewski, Henryk głogowski, ma na napiętkach srebrne, cudnie rze-
zane ostrogi.

Połyski . . . lśnienia atlasu . . . ostre smugi jaśnień brylantowych . . . pastorał
arcybiskupa płonie, jak miecz archanielski. Wszystko w smudze słońca.

Henryk machinalnie powtarza słowa przysięgi. Czuje, jak na łopatkach i barkach
namaszcza go tłuste palce dostojnika Chrystusowego.

I jednocześnie niepokój w nim: pomazaniec boży? . . . monarcha? . . .

Wreszcie ciężar klejnotów przytłacza mu głowę: to korona.

Nie czekając końca ceremonii, powstaje z kolan, idzie ku wrotom katedry,
rozwartym na słońce. Stąpa ciężko. Za nim tysiące kroków.

Cały orszak parów i comesów, świta pozłocista w aksamitach, atlasach i jed-
wabach.

Przed nim w dwóch szeregach dwunastu paziów, błękitnym jedwabiem obszy-
tych. I jeden, trzynasty, w purpurze.

— Odejdźcie wszyscy!

Król na zamku.

Zmierzcza się. Olbrzymie okna napelnione już są szarością wieczoru. Widać z nich dachy katedry i sylwety wieżyc różnokształtnych.

Marmurowa posadzka lśni, jak woda... Cień jakiś na niej...

Król klaszcze w dłonie.

Szelest u drzwi. Zjawia się paź purpurowy, twarzą w twarz z Henrykiem.

Boże! Ta twarz! Głębokie, orzechowe oczy — dwa światy! Włos jasno-ciemny przycięty nad czołem... Kogom ja znał?... Gdzie były te oczy?...

— Diadumen!!!

Biegnie król ku niemu, płacze się w płaszczu koronacyjnym, pada...

Gdy się budzi z omdlenia, leży na gronostajach w pustej komnacie...

Mrok... jakieś twarze...

A na marmurze leży korona,

korona ze złotego papieru.

Jęk...

Przebudzenie...

ANTRAKT — JAWA.

Nad Henrykiem schyla się Jadwiga, jego smutna, kochająca siostra. Głowę jego umęczona dźwiga... przy niej księdza twarz-śniada i ostra. Przesiedzieli noc całą u łoża, przemyśleli całe jego życie... Zwalon oto mocarny wielmoża — ukazane jest pnia tego gnicie. Ani on, ani ona nie wiedzą, co się waży w tej duszy samotnej. Całą noc u wezglowia siedzą, cały ranek posepny i slotny.

... — Korona, paziu, korona...

Clarus łamie dłonie:

— Co z tobą, co ci mistrzu?...

I staje przed nim zjawa łąki pod Lublinem i tych rozjaśnionych oczu, które teraz czerwienia się w gorąccze.

Henryk w gorąccze odwraca się do ściany. Milczy. Osowiałe na gałęziach wróble ćwierkają smutno. Deszcz pada. Henryk, znów zapada w marzenie, tym razem długie, niespokojne, przewlekłe...

SCENA DRUGA.

Śni mu się obłąd.

Gwar... gwar... gwar...

Krzyki, wrzask, co trzęsie wąską uliczką. Pogoń! Resztką sił w zdyszanim ciele pędzi on przed siebie. Za nim tłum. Świszczą kamienie, przekleństwa i drze opętanczy śmiech hołoty.

... Huż go!!! Zagnać tego jelenia!! Wrr! Weź go!

A on biegnie i pada na bruk.

Potem — chwila oszołomienia. Wrzawa nad nim, potem cichnie, oddala się... ginie. Przeleciało tysiąc stóp w wichurze dokoła niego. Nie zobaczyli — triumf!

Ale ta przekłeta cisza po tym wrzasku gromady. Słychać, jak serce dzwoni...

Pulsuje krew w nateżonych żyłkach na mózgu, odpływ i przypływ tego oceanu
łomoce w końcach palców.

Nie chce się serce uspokoić...

... Pan nie tańczy? ...

... Niestety ...

... Przejdźmy się więc po ogrodzie ...

... Służę pani ...

Idą cichymi alejami, które są wysadzone ruchomymi drzewami. Kasztany po bokach alei uciekają pędziami w tył, jak widok z okien wagonu. Henryk się niepokoi, lecz prowadzi dalej konwersację:

— Lubi pan muzykę?

— Pasjami, szczególnie Bacha, Palestrinę, Händla ...

Piękna Helena wydyma pogardliwie uścisk:

— A ja Skriabina i Szymanowskiego ...

— Słowem, uwielbia pani świeże transporty, prosto z paryskiej kuźni reklam artystycznych ...

— Ach, panie! ...

Nadąża, idzie obok niego, piękna, pachnąca, lecz on ma serce zalane falą lęku. Bo drzewa uciekają w tył i tam, za jego plecami, gromadzą się w groźną horde ... Odwrócił się.

Wrzask! Znowu tumult w ciasnej uliczce. On pędzi, pędzi ręką w rękę z piękną laleczką, której profil jest ukształtowany nie przez Pana Boga, lecz przez Żmurkę. Biegna na plac przed jakimś gotyckim tumem.

I naraz nogi zamiast błyskawicznego lotu płaczą się w taneczny rytm. La, la, la, la, la, la ...

Tańczą na placu. Tłum obstąpił koliskiem szerokiemi i patrzy. Nad dywanikiem cyrkowym unoszą się ich stopy. On gra na faunowej, wielogłosej organce, ona poświśtuje purpurowymi uściskami.

... Przestań!

... Ty przestań!

... Nie graj!

... Nie świszcz!

... Mówiłeś, że nie tańczysz!

... Bo i nie tańczę ...

Znowu nadąża się. On zdjął czapkę i obchodzi tłum. Ciemnowłosa głowa miga tu i ówdzie pod niebem pochmurnym. Grosze, dużo groszy ... Idzie ku niemu i rozsypuje grosze u jego stóp. Dzwoni złoto ...

... Korona się toczy!

Papierowa korona ze szklanymi klejnotami toczy się przez tłum, rozstępujący się. On biegnie za nią, za utraconą królewskością.

Wicher ją unosi nad wieżę katedry. On wzlatuje w powietrze ... Zabawa w chowanego. Złoty papier to osiadł na jakimś łbie kamiennej chimery, to na smoku olbrzymich wodotrysków, to spocznie na balustradzie ganku, lub we wnętrzu

rozety nad portalem. Wirują oboje w szalonej igraszcze wiatru. On i korona...
Tłum ryczy z radości. Lot! Lot! — — — groza!!! Spadanie!!

— Pani Jadwigo, trzeba już okład zmienić na czole.

— Panie Janie, przyniesie pan trochę mleka z kuchni. Dobrze?

Kroki, szelesty... Czemu ciemno?... Aha, wieczór... Clarus i Jadwiga.

Pałac płonie? Niech płonie.

Czerwonem światłem nalały się szyby sali. Trzaskają okna przepalone. Ognista rzeka wlewa się do wnętrza... Co to? Zaświaty? Fale Acherontu i Kocyłu, a tam, w mroku sklepień gotyckich, Lethe, rzeka zapomnień, ciszy i spokoju.

Zaświaty czy huta?... Może to lawa gorącego żelaza?...

Pożar!!

Uciekać!!!

Lecz pałac jest bez wyjścia. Próżno biegnie po salach, niekończących się anfiladach komnat. Niema wyjścia! Cichutka muzyka: One step. Marzące, perwersyjne, niesamowite dźwięki... Znowu wir tańca. Tańczy król wśród ognia języków płomienistych i fali złotogrywej One stepa.

—... Henryku! Henryku!

Zamiast słońca świeci na niebie znak kabalistyczny. Przed Henrykiem mędrzec Znierzechowit wyklada Bhagawadgite.

... Werset 45 Sāṅkha-yogi zaczyna się od słów: w Wedzie są trzy gnu... Nazwy tych gnu są: sattva, rājas, tamas... Człowiek w oblędzie, tak jak ty, jest tamas, to znaczy musi wierzyć w upiory, demony i inne bhutas; lękasz się ich i one to cię dreczą... jesteś w ich władzy.

Henryk odwraca się od mędrca i mówi pogardliwie:

— Głupiś...

— Bredzi, zupełnie nieprzytomny.

— Gorączka?

— 39,5.

— Źle, bardzo źle... Jednakże niech się pani nie martwi, panno Jadwigo. Brat będzie żył, choć doprawdy...

Lekarz potrząsa dziwnie siwą głową.

Łąka, słońce, tyle kwiatów.

... Co to? Skąd to dziwne ciało, co to za twory wokół mnie?

— Aha, to centaury. I ja też jestem właścicielem czterech kopyt i cudnego ogona. A jeśli się jest półkoniem, co się je: to, co ludzie, czy trawę?

Słońce zachodzi.

Tabun centaurów biegnie do lasu, na nocleg.

Henryk z nimi. Nagle buntuje się. Poco ja wśród tych koni?

Zawraca do miasta.

Kiedy się jedzie z Kalinowszczyzny, sylwety dominikańskich murów i katedry,

cudnie rysują się na niebie. Wieżyczki, dzwonnice, absydy, wieża trynatarska tak drobnym, delikatnym haftem rzucone na tło szarzejącego nieba. A u dołu tyle czerwieni!

W mieście pusto i głucho. Płoną już gazowe latarnie i półmrok załazł chodniki. Świecą szyby wystawowe sklepów.

Człapią kopyta centaury pod niskim łukiem Krakowskiej Bramy. Plac szeroki... Trzy stalowe fortece, trzy tanki. Na przedmieściach salwy. Centaur stoi, słucha... Wiatr powiewa czerwoną chorągwią na magistracie... To rewolucja!!

„Alons enfants de la Patrie”...

Centaur wznosił jedno kopyto, jeszcze milczy, nasłuchuje.

Aż kiedy na zwycięstwo woli ludu zabili, zatrzeszczały bębny, lubelski lajkonik runął wwał Krakowskim Przedmieściem...

Jak grad spadają uderzenia kopyt ostro podkutych, rozwiewa się pyszny, jedwabisty ogon. Centaur przelatuje, jak lipcowa burza, i niesie się hen, za miasto, wieścić polom swobodę.

Łąka, słońce, dzikie kwiaty, rzeka.

Leży na trawie i patrzy w potok. Bo coś tam błyszczy w głębinie, coś za bardzo słoneczny ma blask. W szklanym słońcu się krwawi rubinie, obiecuje miód królewskich łask. Wśród namulę rzecznego rzucona, kołysana w takt sennego fal szmeru, przebłyskuje z dna głębin korona, Henrykowa korona z papieru... Łzy, łzy, łzy...

— Heniu, czemu płaczesz?... Nie można, dziecko, nie można...

— Mistrzu... (jaka to musi być męka)...

Henryk otwiera oczy: Tak, to oni. Clarus i Jadwiga.

... Czy ja płaczę?... a prawda... twarz mokra... to nic, to ja tak tylko... mnie nic nie boli, tylko dusza... Ale mi wesoło. Mogę nawet śpiewać:

La, la, la, la, la...

— Znasz to, Jadziu? To gawot D-moll Bacha... Las mi się marzy...

Dom zatopiony w mroku w oceanicznym drzew szumie.

Gwiazdzisty strop jest ponad nim, jakby w gotyckim tumie.

Tony minorowe płyną z fali późnego wieczoru.

To fujarka się żali wśród ciszy bajkowego, uśpionego boru...

Tak urocznie gra drzewom i niebu i pełnemu gwiazd białych jezioru...

Jakieś echa doatują z głębi, z łysiejących do księżyca polan:

To się dziewczki wiejskie roztańczyły, podkasane wysoko, do kolan.

Świeci księżyc i dzwoni fujarka, deszczyk lekki, lecz rzęsyty pada...

W tańcu nocy księżycowej tonie bezpamiętna, dziewczęca gromada!

A pod domem prześwieconą dłonią ktoś zakrywa świeczkę gorejącą:

Balladyna wychodzi do Grabca w noc majową, w letnią noc gorącą...

W wszystkich oknach domu ciemno, lecz dom nie śpi. Szmer słychać,
ciche pocałunki.
Wszyscy chłopcy są dziś, jak półbogi—wszystkie dziewczki, jak leśne bogunki.
A na drzewie, wysoko, w gałęziach, oczy topiąc w księżycowej twarzy,
Siedzi mały, samotny Diadumen i o dziwnem swoim życiu marzy...

ANTRAKT — JAWA I MARZENIE.

— Pani Hanko, czemu on wciąż marzy o jakimś chłopcu?

— Pani nie wie?

Tu Hanka nachyla się do ucha lekarza i szepce coś z półśmiechem. Kobieta! Lekarz opowiada sprawę również pocichu trzem pannom Dulskim, które uwielbiają talent poetycki Henryka i przyszły dowiedzieć się o jego zdrowie.

Siostra wie i Clarus wie, ale milczą.

A tam — śmiech. Gruby brzuch jowialnego staruszka podskakuje w śmiechu. Krzywi ironicznie usta przepyszna pani Hanka.

I nagle wybuch! Przysiadły, przykucnęły dusze przerażone... Nie trzymając się scen, w pośrodku antkraktu, krzyczy Henryk:

— Kortyna! Ja gram!!

Rzym. Kazałnica papieska w bazylice św. Piotra.

Lachmany królewskiego płaszcza na Henrykowych barkach, brudne, zszargane gronostaje i papierowa korona na zwichrzonych włosach...

— Już wie czereda o mojej miłostce...

Jakżeż bowiem mam nazwać to, co jest na tyłu ustach roześmianych, ucieśzonych radością, że jest taki głupi, który nie kocha kobiety. W istocie głupi: przecież instynkt rozplodowy tylko w „miłości” ku kobiecie zadowolić można.

O głupi człowieczku, coś twogę przed kobietą wyniósł z rodzinnego domu!

O chłopcze, coś wierzył szkicom Ropsa i Beardslaya!

Kochałeś raz i nie wiedział nikt głębi twej miłości. Męczarnią twoją nie dręczył się nikt — jeden tylko przyjaciel, Zygmunt...

Kochałeś znowu kobietę, dziewczę, pachnące jak chłopiec i świeże. Tym razem nie wiedział o tem nikt, prócz siostry...

Kochałeś teraz chłopca, wie o tem ludzi kilkoro i śmieją się dowoli.

To ja, ten grzeszący głupotą, o najukochańsze moje bydło!

Głos w tłumie:

— Aktor tragiczny!

Lecz Henryk, zapamiętał w bólu, nie odczuł ciosu. Myśli jego szepcą: Zemścij się, wymierz cios w serce holoty!

I naraz kąty ust Henryka ściągają się bezgraniczną pogardą, a twarz staje się demonicznie brzydka w grozie zemsty. Mówi z uragowiskiem:

— Tyle jest słów ewangelii świętej na niedzielę dzisiejszą...

Ksiądz nachylił się nad potępieńcami oczyma Henryka i woła:

... Mistrzu, zbudź się... ja się boję... co za dusza w tobie?...

Jadwiga płacze w kącie, a może i nie płacze, może tylko oczy zakryła przed grozą. Serce jej woła z lękiem: Brat...

Deszcz pada, chwieja się gałęzie za oknami, skrzypi brzoza na wicherze.

Prawda. To na jawie... Życie...

— Jak te sny mnie trują...

SCENA TRZECIA.

Maestoso: Pan wyrzekł ostatnie słowa
Zwisła mu z ramienia głowa...

Słyszy Henryk jęk tysiąca piersi, tysiąca dusz, które wierzą.

Cóż to za wiara, że trwa wieki, nie przemija? Ani jednej gorzkiej nutki niema w jego duszy. Siedzi na wieży i słucha wielkopiątkowej pasji.

Ciemno. Gwiazd pełno w oknach strzelistych. Pełno śpiewu w ogromnym kadłubie kościoła. Jęk Indzki wchłaniają dzwony w muszle swe potworne i cichutko się skarżą.

W Henryku ogromna powaga.

Przebiegają myśli:

... Czemu nie mogę wierzyć? Wyrzuciłem się sam, rozpędem własnym poza koło wiar, a teraz tęsknię... Kościół?... Nie, tu wrócić nie mogę...

A ta wiara, co bezświadomie rośnie w duszy, jest jakaś zbyt prosta, krytycyzm mój nie chce jej przyjąć. Tyle, tyle miesięcy mego życia było szukaniem czegoś poza tem. Zawszem starał się zajrzeć poza lustro, które przypadek rozstawił dokoła. Szukałem, czegoś, a tęsknota mówiła, że to będzie coś wyższego... znalazłem zaś teorię. O goryczy!

Cień na schodach wieży.

Pelźnie w mroku po rusztowaniach, wyżej, wyżej... dosięga Henryka.

Siadł naprzeciw na belce potężnego dzwonu.

To Postumus. Słowa jego płyną chrapliwym, mądrym szelestem:

— Ja! Ja! Jestem już tu, tragiku, i powiem ci, co było i co będzie. Chcesz? A choćbyś i nie chciał, powiem. Bo ja wierzę w los, w Los przez wielkie L. Odnalazłem formuły psychologii matematyczne i niewzruszone. Jestem, jak mag. Po Twoich czynach wiem, co z tobą będzie...

— Nie ciekawym...

— Moja matematyka powiada: rzuciłeś wiarę — szukasz wiary. Oczywiście, znalazłeś zamiast niej teorię i wprowadzasz ją w czyn. Tu się załamiesz. Powiadasz, że sam świadomie tworzysz winę i karę. A czy wiesz, jaka twoja kara? A czy wiesz, że grzech twój największy ukryty przed twą świadomością? A czy wiesz, że to, co ty za grzech poczytujesz, ta miłość do chłopca, to dziecinad?...

A jeśli tem się tak męczysz, co będzie z istotną winą, jak wielka będzie kara? Znasz ją? Ty ją tworzysz?! Czerwiu! Robaku!

— Odejdź, kusicielu, ode mnie. Odejdź od posępnych mych żreń...

— Gniewasz się, mistrzu? Pusz się i rób wielkim, póki cię wichr bólu nie złamie. Twa wyrozumowana wiara zgnie cie. A nie zapomnij teorii swych wprowadzać w czyn, bo pomyślę, że złakłeś się moich wróżb...

W ciemnych oczach Henryka wzbiera gniew. Zamiast bolesnych pieśni gorzkich żalów, słyszy tylko swą krew wzburzoną i tętniącą.

— Milcz, nie szydź! Ty nie żyjesz! Tyś jest zjawą moich złych, czarnych myśli. Buntujesz się, ale jam twój pan. Kąsas, ale legniesz u stóp, zwierzu...

Plomień na włosach Henryka, burza nad czołem zmarszczonym. Postumus przepadł do dzwonu, niby pokorny i zgnębiony. Płazczy się. Pełnie od dzwonu do dzwonu, ku schodom. Aż przy ostatnim porwie się i ryknie w dzwon, który echem odegrzmiał straszliwie...

... Groom!!! Grooom!!! — ryczy dzwon — OOooOm!!! OOooO!

Zygmunt tętni... — niepokoją się inne dzwony.

Pękło wszystko w Henryku. I nerwy nateżone i rozpalony do białości gniew. Spadanie w dół... Otchłań... Przebudzenie.

ANTRAKT — JAWA.

Muzyka. Zapach kwiatów zmieszany, niewyraźny. Zdaje się, że heliotropy i astry. Menuet Mozarta jest tym zaczarowanym fletem, który każe płaszczyć się splecionym parom. Do ciemnego pokoju wpada przez drzwi smuga światła, zapachu i melodji.

Cień w jasnym czworokacie drzwi.

— To ty, Jadziu?...

— Ja... Nie śpisz?... Może ci źle?...

— Nie, nie, tylko tak pali gorączka.

— Jedz pomarańcze... ugasisz pragnienie...

Zapach namiętny złotego owocu. Zjawy słonecznych włosów. Przelotna myśl o dłoniach Monny Lizy. Więc ją jeszcze pamięta? w gorączce...

— Jadziu, jakaś ty ładna w tym mroku, z tuberozą w czarnych włosach. Suknia rubensowska, bogata, wydatnia twą kobiecość. I cała snujesz się w atmosferze balu, muzyki... Tam bal, prawda?

— Tak, Heniu, śpij już, śpij, bracie, i nie mów komplementów... Dobranoc. Wysła.

Nowy cień w drzwiach. Małeńki, przesuwający się bez szelestu. To Diadumen. Gdy się ogląda za siebie, widać w świetle złote, rzadkie brwi i tajemnicze oczy. Bez oddechu płynie na bosych stopach leciutko, jak zjawą.

Jest przy Henryku. Nachyla się nad nim i szeptem:

... Mistrzu...

Niema odpowiedzi, ale słychać w ciemności oddech niespokojny, gorączkowy

i żar bije od chorego. Drobna dłoń wsuwa się pod poduszkę i wyciąga stamtąd paczkę, wiązkę listów. Listy Maryli.

Lekkie kroki płyną do kominka, na którym czerwony żar pełnie po gasnących węglach. Przy tym świetle Diadumon przegląda listy i rzuca je po kolei w ogień... Gina słowa...

„Nie chcę niczego już od Ciebie... Smutna pogoda w moim sercu”...

„... przyjdź w wieczór wigilijny, biały, biały od śniegu, na tę ulicę, co zwykle. Będę czekała, dobra i kochająca...”

„... przyjdzie wiosna dla mnie i dla ciebie, tylko mi nie bądź smutny...”

Gina słowa.

Małe dzikie serce nienawidzi swej rywalki. Chce mieć całe jego serce i całą jego miłość. Schyla się nad Henrykiem, całuje rozpalone usta i znika.

SCENA CZWARTA.

1.

Modlitwa skrzydlata mieszka w sercu króla. Patrzy na witraże franciszkańskie i zachwyca się. Tęcze barw świetlistych materializują się w postaci, linje i kwiaty. Krzaki cierniowe wybijają ponad święte głowy. Rajske rozradowanie mieszka w kwiatach zamiast woni. Rajske rozradowanie zamiast woni. Oczy tak są zasłonięte, tak rozjaśnione światłem barw, że nie widzą ścian mrocznych ani stropu strzelistego.

Witraże jakby wisiały w ciemnej nicości — zjawy niebiańskie. Szczególnie dziwny jest ten z biedaczną Chrystusowym. Promienieją blade dłonie, na których rubinowe stygmaty sączą krew...

Zapamiętał się król w zachwyceniu i marzy. Nie o czym innym marzy, ale o kwiatach świętego Franciszka, o jego pięknych czynach i miłości, które tak kwitną tęczowo na witrażu.

Szczęście mieszka w wierze miłowania i przebaczenia.

Po promyku słonecznej jasności schodzi święty z onego witraża. I podnosi z kolan króla, prowadzi go ze sobą. Przeszli pusty kościół wzdłuż, ku organom idą. Na chórze wskazuje mu święty ławę i powiada:

... Siądź, jeśliś nie jest człowiek.

Nie siadł król, lecz patrzy w świętego zdumionymi oczyma.

... Spójrz w górę...

Spokojna dusza króla rozrywa się orkanami upojenia, pijana jest wiecznością. Ponad nim sam Bóg-Ojciec w przepychu potęgi.

... Zwlec bogactwo szat twoich — mówi święty — padnij w proch przed Stwórcą i nie myśl nic. Niech się w pyłe korzy twoja dusza, aby snadź myśl buntownicza nie wypęzła z mózgu twego.

Król, posłuszny słowom źródła wiary i miłości, zrzuca aksamity i biel jedwabną. Zostaje nagi na chórze; tylko u przegubu lewej dłoni złoty łańcuch dzwoni i błyszczy.

Rzekł biedaczyna Pana Jezusowy:

... W proch! Ukorź się, jeśliś człowiek!

... A Ty?...

... Ja idę do sadu, do pszczoł złotych i nieba błękitnego — uśmiechnął się świetlisty cień.

Znów zdumienie w królewskich oczach. A Franciszek wyjaśnia sprawę, słodkim gestem białych dłoni zakreśla różnicę:

... Ty, człowiek, — módl się; a jam święty...

I zostawił go samego.

2.

— Witajże Julianie!

Julian powstaje ze stolka i ściska rękę brata.

— Powiadaj, kiedyś wrócił?... Jakżeś żył w niewoli?

Siadł król na skrzyni bronowickiej, pstro malowanej i słucha. Na nim czarne, chłopięce ubranie z białą koronek — strój Hamleta. Za przejrzystą oponą z tjułu, która przesłania otwarte okno, zapada zmierzch cichutki.

Julian opowiada mu swe dzieje: jak rozpacz i nadzieja brały się z nim za bary, jak go choroba zwaliła ciężka, ile było nędzy niewolniczej w dalekim, wschodnim kraju.

Powłada bajkę o moskiewskiej, złotej stolicy. Jak sen wygląda święty Kreml, jak sen...

Kiedy w pokoju już ciemno i przytulnie, bracia stają się istotnymi Braciami i już ich wiąże szczerzota nic odczuć i zrozumieć.

Król skarży się:

— Poszukuję życia istotnego i wielkiego; nie wiem, gdzie je znaleźć. Mój ból zamknąłem na kilku kartkach, by się go wyzbyć. Sądziłem, że gdy smutki moje wypowiem, lżej mi będzie, lecz nie... nie lżej...

Julian patrzy surowo na zmienioną gorącą twarz brata.

— Twardy bądź i mężny! Wszystko zbliża się ku śmierci i wieczności (może nicości). Przyjdzie ona mimo wszystkie zmagania się nasze. Więc jeśli przyjdzie, lepiej ją mężną spotykać pierśią, niż bolesnym uśmiechem.

— Twardy bądź!...

— A moje tęsknoty?...

— Ja wiem, trudno je rzucić, trudno... Czasem zniecka przychodzi nostalgia chłodnych, mglistych, księżycowych nocy w pustym mieście, rozbliśniętem blademi światełkami latarni gazowych. Tak smętnie wtedy...

— Tak, Julianie, wiem, są takie chwile... potem znów się kręci mtynek: banalne uśmiechy, życie... jeśli to życie... Lecz późno już i czas na wieczerzę. Pójdiesz do stołu?

— Nie lubię gwaru biesiadnej sali twojej.

— Więc żegnaj, Bracie!

— Namietne, szerokie usta króla dotykają lekkim musnięciem żalobnych oczu Marysi Dalekiej.

— Milczysz?...

... Czemuś mi smutno. Zawsze, gdyśmy sami i tak blisko, serce niepokoi się we mnie i dręczy. Ty mi się wydajesz, jak los mój, taki jesteś niewyraźny i nieprzenikniony...

... Widzisz, droga: ja się męczę sam temi przeczuciami, którymi ty żyjesz. Miłość nasza z pod złej gwiazdy... może to Arcturus...

Ręki gestem powolnym wskazał punkt na głębokim, nocnym niebie. I obojgu zrobiło się jeszcze smutniej.

... Maryś, — zaczął znowu — czy nie lepiej byłoby nam rozstać się?

... Nie mów!...

... Ale pomyśl! Gdy ty przychodzisz radosna, we mnie gorycz; gdy ja w weselu tonący — ty gorzka i smutna. Czemu?... Rozejdźmy się. Nie będzie tego smutku.

Placze Maryś. Głos jej drży.

Spojrzenia... spojrzenia... Westchnienie... Cichy szept...

... Nie rzucaj, wróć... Zobaczysz, następne spotkanie będzie radosne i piękne, jak pierwsze liście, jak chryzantemy w twym ogrodzie...

A król myśli ze smutkiem: Nie mogę porzucić. Trzeba znów przyjść i męczyć się... Ech, dolo!

... Odechodzę, Maryś. Straże mosty zwodzą...

... Ale wrócisz?... wrócisz?... — błaga głos nabrzmiały łzami...

Spojrzenia, łzy, szept...

Westchnienie...

Usiadła Maryś do krosien. Wszystko jej leci z rąk. Żali się sama sobie, żali się ścianom ojcowej chaty...

Po co mnie spotkał? Poco wziął serce...

Kto kładzie te przepaści między nami? I śpiewa tęskno:

Ej, śpiewajże mi, śpiewaj, bracisku góralu,

Ej, coby moje serce nie pukło od żalu!

Ej, deżre nam Maryjo Młonecka, pogody,

Ej, coby mnie zobaczył mój królewic młody!

Onci jest, jako oriel na orłowej perci,

A ja — lania zraniona, cekojąca śmierci!

Ej, zakochał mi się, nie znojąc kochania,

A teraz żal i smutek serce nam osłania!

Spiewa i tka na płótnie złociste chryzantemy. I za łez swoich deszczem rześystym nie widzi, że pojaśniało w chacie. Stał przy niej święty Franciszek i mówi. Kieby leluje mówić mogły, nie insyby miały głos:

... Je coż se tak śpiewos, dziewce?...

... Śpiwom mój smutek...

... Jakiz on?

... Lute ma serce mój ostomilsy, lute, jako u zwierza...

... Wicaska z Gubio uskromilek i jego potrafiem. Kaz zyje?

... W zamku, dobry cteku...

... He, to ty pońo wysy sięgas, niz dziewczki z okolicy. Pewno to król. Hendryk niesczęsny...

Nic Maryś nie odrzekła, patrzy bez okno do pola. Na rżysku, pod białem niebern psów cały kierdel, jak owiec. Trąbki brzęcom, polowace goniom ku Tatrom. Polowanie.

... Jeśliś haw święty i doli mej poradzić fces, lejdzę ku niemu! On haw, na cornym koniu...

... Dy jo go już znom. To on sie mi cudował w krakowskim kościecie u Franciszanów. To on w prochu leżał przed skłanym obrazem pana Wyspiańskiego! Trudno z nim, ale idem...

Myśli Maryś, gdy ten hipnon do dzwierzy: — Coby to prawda była, że ty mi go wróciś, choć na jeden wieczór, ej wiera, całabyk była twoja, mój święty!

Cień w chacie. Spoziera Maryś. Zbójnik wszedł. Włosy w kiecki. pas na trzy piędzie seroki, portki kraśno cyfrowane.

... Dziewce, wróce ci go na jeden wieczór. Potem moja bees...

... Jakoz?

... Moja rzecz. Bedzie twój...

... Nie łzes? Przysiengnij! Na pistolce.

Kładzie zbójnik palce na głównej pistoletu i przysięga:

— Na mój honor zbójnicki, na siubienice wiśnickie, na dusiu moju i te pistolce...

Wchodzi król do chaty. Stał u proga. Poznał zbójnika.

... Psie, do nogi! Waruj Postumie!

1.

Za murami, w ciemną noc pochurną, u stóp gmachów jakiegoś księżęcia jest uliczka, ogrodami pachnąca i cichutka, jak mury nad Wisłą. Tam ich dwoje.

Maryś: Czemu ci oczy płoną niesamowitym blaskiem?

Król: Boś piękna i pachnąca. Gęstwina włosów twych pachnie, jak rumo

Goplany, jaskółkami obwiązane...

Maryś: Kochasz moje włosy?...

Król: Ciebie całą... jeno, że cię nie znam.

Maryś: Tak, jak i ja ciebie.

Król: Wiesz, nazwę ci dam: Maryś Nieznana albo Daleka...

Maryś: Dobrze, panie, kocham cię, więc poddaję się wszystkiemu, czego żądasz...

Król: Niewolnico...
Maryś: O żalu!... Tak, jam niewolnica twa...
Król: Tyś jest światłość świata — kobieta. Z takich, jak ty, rodzą się Manu, Zaratustra i Chrystus...
Maryś: Cemu mi nie wierzysz, próbujesz serca mego?
Król: Bo chcę wiedzieć, kto zawsze odtąd będzie ze mną...
Maryś: Chryste!
Król: Żono... daj usta... pocałunek to będzie pierwszy i ostatni... Jąde na szukanie Graala, a może otchlani...
Maryś: Usta?... Oto one...
Przechylił ją w tył, drżącą, jak struny na skrzypcach. Przechylił ją, aż ciemna masa zamku odbiła się w jej żrenicach, a grzywa ciemnokasztanowa zamiotła proch z bruku.
Milczenie.
Postumus powstaje nagle. Dotychczas był cieniem króla. Stał za niemi, krzywi usta i błogosławi dziwny pocałunek.

2.

Pod drzewami stanął ktoś. Czerwony blask kominka rzucał na postać króla fantastyczne światło i ślepił mu oczy. Widzi król zjawę — nie widzi, kto to. Słonie zjawa ku niemu. Pokiwn do ziemi.
... Ty?
... Ja. Samżeś królu?...
... Sam.
... Pogadajmy?...
Wsparł się o kominek i szepce z żalem:
— Królu, komedję grasz. Cemu ją dręczysz?...
— Nie mogę inaczej. Rzuciałem ją już trzy razy. Lecz tęsknota ciągnie mnie ku niej. Wysoka, kościelna tęsknota...
— Ale raniśz ją, ilekroć ją widzisz...
— Bo ona ust pragnie, cichej rozkoszy. A ja pragnę tylko jej smutnych oczu. Kocham ją, jako posąg cudny, a ona mnie, jak człowieka.
— Ja ją kochałem kiedyś — rzuciłem...
Król milcząco patrzy na Zygmunta. Chmurnieją jego oczy.
Cisza.
... Alleluja, moje lilje kwitnące!...
Rozśpiewany wchodzi do komnaty biedaczyna Chrystusowy. Spojrzawszy na nich, uśmiecha się, szeroko otwiera okna.
... Niech wejdzie tu trochę światła.
I płyną wieczorne wonie z ogrodów i sadów. Majaczeje na niebie gwiazdziste cięń katedry.
Przechylił się za okno i dionią obejmuje ogród różany.
... Patrz, Adamie, posępny myślicielu. Tu cię Ewa co dnia kusi? Jakież cudny ogród! Tyle róż! Godny jedynie miłości być świadkiem...

— Lub grzechu — rzuca ponuro król.

... Nie, miłości godzien ten raj i umiłowania. Bo nacożby te róże i kwiaty, naco piękno boskie, zieleni trawników i naco drzewa ciężkie od owoców? To świat — matka — miłość...

— A grzech stworzył człowiek...

... I człowiek go mocen zdeptać — powiedział z wiarą Zygmunt.

... Przyjrzał się słońcu ogromnemu. Nacóż tyle światłości —? Czyżby na grzechu wyszukiwanie? Zaiste — miłości ono świeci... Świat! Świat! kochane róże kolące! Drogocenne chwasty i popłochy! Robaczki świętojańskie, motyle i ptaki! Do was idę! Bywajcie zdrowi, ludzie!

I splywa w sad lekko, niesłysznie. Wionęła szata — znikł.

A oni patrzą na siebie.

... Ciężko mi — skarży się Zygmunt.

Król milczy. Serce ma twarde, powiada przecież Maryś.

... Och, ciężko...

Mężczyzna płacze; nie zakrywa twarzy; łzy płyną, wielkie żałosne. Pycha królowa szepcze: Co za sentymenty!

Lecz dusza czuje w sobie także łzy, może nawet cięższe...

... Henryku... ucałuj mnie, jak brata...

Pocałunek braterski — będą przyjaciółmi na zawsze.

Głos Franciszka dzwoni w sadzie:

Żabki moje zielone!

Roso żywiąca!

Kielichy lilji zamknięte

Z zachodem słońca!

3.

Tony gorącooranżowe. Spiekota. Zielen przyprószona pyłem piasku i słonecznego złota. Ogród jakiś, czy wyspy szczęśliwe, bo wokół wody białogrzywe.

Kształty dziwne — wysmukłe, jak topolowe. U stóp ich kłębią się płomienne krzewy. Trawa brunatna. Błądzą po ogrodzie przyciszone melodje i śpiewy.

... Magdaleno, pójdziesz za Chrystusem i porzucisz dawne ukochania; oczy cudne swoich królewiczów, noce pełne szału, opętania...

Jędrak Gajka, zwinny, gibki chłopak prowadzi Marysię temi cudnymi krainami. Naraz jaśń zorzy na drodze i staje przed nimi Seraf sześcioskrzydły. Wznosi znane stygmatami ręce i powiada słodko:

... Maryś, pódzi do skrzydeł... Idź se mnom po górak i lasak śpiewający. Miłuj ino leluje a ptaki... Carny Staw i Morskie Oko... Ino cały świat, a nic więcej. Bo ludzi ty mielować nie umiiesz...

A ona, smutna, powiada:

... Icie prec, święty Franciszku. Razeście mine zwiędli już. Ja teraz z chłopcem igran, niek wie król...

... Nie zwiódłem ci ja — inom serca hardęgo złamać nie móg. Przed Bogiem się korzył — widziałek. Przed kobietom nie kce...

... Coz będzie s nami?

Stoja, milczą. Jakieś pachnienie słodkie się donosi, jakieś ptaki purpurowe przecinają niebo lazurne. Ciężkie pomarańcze opadają do stóp drzew — w trawę pordzewiała.

Aż wrzaśnie Jędreka:

— Je cozeście drogę zastompili!

Odszedł święty, popatrzyszy w oczy Cajce.

Idom dałel po cudnym ogrodzie.

Trzok ludzi — dwa górale i baba figi obierajom z drzewa.

Jeden na drabce stoi i obrywa figi, rzuca je na podolek babie. Zaś trzeci pilnuje z ciupagom, cy zaś panny Hesperydskie nie idom, bo ten sad był ik. Kradnom.

Śmieje się Jędreka i chyli ku Marysi:

— Maryś, a tozbyk do ognia hipnon za cie, a tozbyk cie na rencak nosiel, jako to dzieciątecko... Rada mie widzisz?

— Rada ci ja, rada... Cemu tu tak pusto.

— Chciałabys, coby nas widzieli...

— Nie... ino tak... strasno.

— Strasno ci? se mnom?

— Takie mas dziwne ocy, oczerwienione...

— Maryś!...

— Cego fces?

— Ciebie! Ciebie!

Przysiedli na murze ogrodu. Pola złociste patrzą na nich, patrzą, jak Jędreka chwyta w ramiona Marysię, po chłopsku, odrazu. Maryś płacze.

1.

Z pod srebrnych pian fontanny, bijącej na wyż niesłychaną, sączy się strumyk w dolinę pełną kwiatów. Krokusy, stokrocie, mlecz — biel, czerwien, złoto... Nad wodą jabłonka z małeńkimi, rajskeimi owocami. Mały Józio usiłuje dosięgnąć gałęzi, wspina się, dziecinne wdzięku pelen, ku owocom, których pożąda jego czarne ocy. — Staszek, starszy, błękitnooki chłopiec, stanął na zakręcie strużki ciekącej. Pełne ręce ma krokusów. Po jednym rzuca na wodę i śledzi oczyma ruch zaczarowanych statków.

Patrzą z cienie arkady król i Julian.

... To my, — mówią sobie — to my...

Słońce znikło. Chmury...

Wiiich... wiiich swiiszcz...

Pochyliły się drzewa i zaszamotały w dłoniach wiatru.

Widać wśród deszczu skałę na morzu.

Na skałę człowiek w czarnym płaszczu, którym burza łomoce, jak żaglem. U stóp ma kilka postaci, które wolają ku niemu z rozpaczą:

— Mistrzu! Kochamy cię! czemu ty masz serce obojętne?

A on patrzy w góry dalekie na horyzoncie.

... Precz, ludzie, ja sam! Na wyżyny chcę, gdzie ostre, mroźne powietrze,
gdzie moc, gdzie zdrowie.

Każdy ma prawo Postuma.

Postumus tego człowieka szydzi z patosem umyślnym:

... Idź! przez burzę! przez ocean! giń!

— To ty na skale, — mówi król — to ty, Julianie.

Rozpogodziło się... Słońce w zenicie. Ziemia świeża i wonna po deszczu,
lasy dymią, jak kadzielnice.

Zjawia hesperydzkiego ogrodu.

Zakłute cienie błądzą po nim. Zakłute, że wtargnęły do krainy fantazji, pójź
i półszczęścia.

Chodzą tam i nazad chłopiec i dziewczyna.

Pośrodku polany spotykają się i rozchodzą znowu, by znów iść na spotkanie.
I tak bez końca.

Ilekoć się rozejdą, tęsknota ich w postaci cienia wydłuża się niepomniernie.
Gdy przechodzą obok siebie, zaglądając w oczy, tęsknota mała, skurczona leży
u stóp. Waruje, jak pies.

... To ty — mówi Julian — Ty i Marysia, a może ty i Prawda.

2.

Julian zbliżył twarz do twarzy brata i mówi słowa dziwne. Stałowe żrenice
lśnią twardo, nieubłaganie.

... Człowiek mocny musi gardzić kobietą. Czy ty nie czujesz, że wszystko
się w tobie załamuje tylko dlatego, że ludzisz się miłością? Jeśli ty kochasz —
nic to, lecz jeśli ciebie kochają, działa to destrukcyjnie. Gnijesz wtedy, a wyjścia
nie znachodzisz.

Pamiętasz twoje słowa: „Nie mogę jej kochać i nie mogę nie kochać”.
Więc wydrzyj z pod serca! Bo zginie twoja moc.

Zatargał się król bezsilnie i łamie ręce.

— Więc jak?... jak?...

— Porzuć!

— Nie mogę!

— Zapomnij!

— Ponad siły!...

— Musisz, bo zmarnujesz to, co w tobie!

— Zawsze mnie będzie wiodła ku niej tęsknota...

— Otóż to... ta choroba duszy ludzkiej...

Zamyślił się obaj. Wreszcie mówi brat głosem drżącym:

— Przebac, że nowe udęczenie wpuściłem w twą duszę. Widzę sam, że to
nad twoje siły. Zostań sam. Myśl!

Wychodzi, wsparty na błękitnym paziu. Długo jeszcze słychać kroki w olbrzy-
miej sieni zamkowej.

Północ dawno już minęła, bo dogasają świece.

— Paziu, Biblię!

Zjawia się chłopię, lazurowym jedwabiem strojne i jasnymi płótnymi włosami. Na klęczniku rozkłada pismo i objaśnia świece.

Gest króla — komnata pusta.

Jak z pod ziemi, wyrasta z ciemnego kąta Postumus Porco i przewraca karty Biblii. Znalazł. Czyta głośno:

... Jeśli cię gorszy oko twe, wyłup je...

Porwał się król. Mierzy komnatę z kąta w kąt wielkimi krokami. Księżyc zgasił. Świeca się wywróciła. Ciemno. Nastroj, jak w zamku Lady Makbet.

Postumus węszy myśli króla i mruży: Krew pachnie...

A król szamocze się z sobą.

... Czyżbym aż tak był słaby? Nie, jest moc we mnie. Jest! Kto śmie mówić, że potęgi niema w tej piersi? Przez krew pójdę, przez grzech, przez wszystko, co noc i złe moce na drodze postawią! Kurtyna! Ja gram!

Znowu gram!!!

3.

Kosił siano Jędrak Cajka, kosił przy księżycu, bo w dzień gorąc dopiekał, co nie daj Boże! Kosił, a na chatę Marysi pogląda. Widzi mu się, że gwar jakiś i krzyki słychać, ale kosi dalej. Wtem błysio, strzał! Gruchnęło echo po górach. Drugi grom, trzeci... Bitka.

Porwał kosę na ramię i pobiegł na nogach chybkich, jak wiatr. W obejściu pusto... niesamowita cisza.

Stary Samek Rohacz leżał na progu z głową strasznie rozbita. Krew chlupała i płynęła strużką z proga, a przy księżycu zdawało się, że jest czarna. Obok Samka drugie ciało, ciepłe jeszcze. Z ciupagą straszliwie wdziobaną w czoło rozkrzyżował się człowiek nieznan. Obejrzał go Cajka: rajtar, z królewskich rajtarów.

Lęk go zdjął.

Zajrzał do ciemnej chaty i krzyknął: Maryś!

Cicho.

Siadł na kamieniu i zapłakał. Cóż on może proti królowi? Place, place, aż się ojaśniło. Świt. Prasnął kosę o ziemię.

— Pódem do króla! Zginem — raz śmierć! I nie strasna mi ona. Nie raz ci jom widziałek w przepaści.

I ruszył wielkimi krokami do Krakowa.

Idzie i myśli: Śmierci się nie bojem, ale to król. Nohrubsy gazda nic proti niego. Dy to król.

... Pódziesz i zabijesz — mówi Pomsta.

... Nie pódem — dy to król... szepce Jędrak.

Pojrzał na drogę, a tu w słonecznej zorzy wychodzi święty Franciszek i wyciąga dłoń ku niemu.

Wróć się... nie pódziesz nikaj...

— Pódem! — siepnął się Jędrak — moja sprawa, nie twoja.

... A praca twoja?

Prowda! Jędrak ma jeszcze dzień pracy odrobić za dług w kamieniołomach. Zawrócił. Pusto przy skale. Wyjął ze skrytki naboje dynamitowe i oskard. Wykuł dziurę, założył nabój, podpalil i przypadł za glazem. Fuku! I odwalilo kawały kamienia. Jędrak założył drugi nabój, podpalil, uciekł. Myśli: dziś pracuję, to jutro póde do Krakowa... Czemuż to nie strzeliło... Podszedł... zgasło. Nachylił się, dmuchnął w tulejkę. Jak ryknie grom!!! Padł Jędrak na glazy bez oczu.

Pochyliła się nad nim limba zielona i szmerze:

... Świętemu się prociwił nie bees. Nie pódzies juz, hudziaku, nika, jeno do grobu...

4.

Słońce krwawo zachodzi, jak nigdy. Na purpurowem niebie ponure sylwety drzew wysmukłych, żałobnych. I sylweta wysokiego wśród topól szafotu. Kat z mieczem — pień, czerwonymi plamami luskający pod słońce. Na prawo zamek królewski, na lewo kościół franciszkanów.

Tłum szmerze — gwarzy — kłębi się i czeka.

Wyszedł król na taras. W czerwieni zachodu widać oblicze brzydkie, złe, z oczyma, w których mrok się przytail. Opona złota, jedwabna, nad nim rozciągnięta, refleks rzuca na twarz i koronę króla.

Złoty, żywy i ruchliwy jedwab.

W cztery strony świata grzmiały surmy. Król chce, by umarła jego miłość wspa-
niale, jak królewskiej przystoi kochance. Błysły w dole hełmy. Rajtary wiodą Marysę na szafot, a z nią księdza, nie księdza — świętego Franciszka.

Gaśnie słońce, gdy wchodzi na czerwony pomost.

Ostatnie, przebaczące ziemskie całowanie bierze z jej ust biedaczyna bosa, w podartym habicie.

Pocałunek był czysty — zmienił się w białego gołębia, którego Franciszek ukrył w dłoni. Potem uśmiechnął się do króla i poszedł po powietrzu do okna franciszkanów. Wstąpił na witraż... znieruchomiał.

A król zdejmując koronę z głowy i daje paziowi w dłonie...

... Włóż jej na głowę...

Zabłysła korona złocista na ciemnych włosach Marysi. Wąskie i blade jej usta patrzy na króla, radosne, miłosne, zamglone.

Swist!

Runął miecz!

Grzmiały surmy mosiężne, więc nie słyhać, jak toczy się głowa. Spadła korona i leci z wiatrem, daleko, na wodę wiślaną. Nasiąka wodą papierowa korona i tonie. Król, przechylony przez balustradę tarasy, patrzy na te zjawy rozszerzonymi oczyma i za pierś się chwyta:

... Boli!...

Słońce zgasło... Mrok... Pożar chmur na niebie.

PRZYJACIELE.

W uroczej, cichej Słobódce zdrowie wraca Henrykowi. A że to wiosna, zebrał wokół siebie przyjaciół i razem kochają liście, rozwijające się dopiero na drzewach, maleńkie, lepkie listki topoli, brzozy czy dębu.

Dniami całymi leży Henryk na słońcu w mchu leśnych wzgórz i słucha rozmów serdecznych. Jest Zygmunt, ksiądz Clarus, Madonna Marja, ba nawet Achilles i Patrokles. Henryk słucha właśnie jednej z takich rozpraw. O sztuce rozprawiają uczestnicy tego Symposionu.

Więc Clarus: Ja jestem tylko tęsknotą za twórczością. Co maluję — pełne jest myśli ociężałej i równie ciężkich, zawitych symbolów. A przecież tyle prawdziwego uczucia żywię dla wielkiej sztuki i tak pragnąłbym ją posiadać...

Zygmunt: Przez wielkie S zawsze ją piszesz, ale właśnie za wiele w tobie tęsknoty, za mało zdobycia się na czyn, urzeczywistnienie.

Clarus: Więc tworzyć, nie tęsknić, nie myślać o sztuce?

Zygmunt: Nie tworzyć sztuki, jeno siebie...

Achilles: To jak my: ja i Patrokles. Tworzymy siebie w naszym wojennym życiu i w naszym życiu miłosnym.

Clarus: Do rzeczy, drodzy, do rzeczy. Mówmy o sztuce.

Achilles: Jakto, czyż nie uważasz sztuki życia za największą ze wszystkich?

Madonna: Lub sztuki dobroci?

Zygmunt: Lub sztuki poświęcenia?

Lub sztuki bólu?... — szepcze Henryk.

Clarus: Ach, pięć głów i pięć zdań. Chciałem tylko rzec, byśmy wrócili do rozmowy o sztuce w mniej szerokim pojęciu.

Madonna Marja: Trudno rozmawiać na zadany temat. Czemuż to jednak nasz drogi Patrokles siedzi milczący i rozmarzony?

Patrokles, który siadł zdala, odwraca głowę.

— Ja o miłości myślałem... Że jest dobra, przedziwna, choć gorzka...

Madonna: Skąd to wiesz, maly?

Patrokles: Nie uczyłem się z ksiąg... Sam wiem.

Bolesnie krzywią się usta Henryka. Spostrzegli. Zamilkli.

Innego znów dnia siedzieli nad jeziorem Henryk i Madonna Marja. Opowiadała mu swe dzieciństwo. Dużo było w opowieści zapachu wsi polskiej, rannego pnia kogutów i nocy, pełnych gwiazd. Lubiła, gdy słuchał jej ciekawie, jak dziecko. Oburzała się tylko na jego bolesną ironję. Widziała jeszcze te kolory, które dla niego już spłwily.

Gdy rozmawiali tak w ciszy wieczornej, wspominała o Bogu.

— Wierzę, że czuwał nad moim dzieciństwem i nadal czuwał będzie.

— Który?

Nie zrozumiał, więc zapytał powtórnie.

— Który, czy Zicna, czy Anielska, czy Gromniczna?

— Jak możesz, Henryku? Więc jest tylu bogów?... Czyż my poganie?

— Tak, tak, Madonno Marjo. Zamiast wierzyć w Kupalę, wierzymy dziś w świę-

tego Jana. Zamiast Łady, Nii, Dziedzilli, mamy Te, co chroni nas w dzień śmierci, co każe pola siał i polom błogostawi... Bądźże patriotką, idź między lud i szerszą prawdę. Każda ziemia własnym winna kwitnąć kwiatem.

— Nie, kłamiesz Henryku! Chrystus jest w duszy tego ludu!

— Chrystus?... Nie, Jesse w postaci Zadumanego siedzi na skrajach dróg w złotej i szerokiej Polsce. To jest nasz Chrystus. Na Litwie pod daszkiem zarzewiałym spotkasz Smutkielisy drewniane. To też on — Jesse.

— Więc wracasz do pogaństwa?

— Nie, ino w nowe życie idę. Nowe życie musi być zwarte z wiarą, żeby nie było tej męki rozbratu, którą my teraz żyjemy. Żeby nie było tej pozornej jedności świata, ale rzeczywista. Dozwólmy ludowi wierzyć w pogańskiego Chrystusa, bo to łączy wiarę z życiem. I stwórzmy tę jedną wiarę na całym obszarze ziem naszych. Bo u nas ty żyjesz czem innym niż ja, Clarus, czem innym, niż Zygmunt. A lud też się szarpie, niemocny. Stąd sekty, stąd bajka o narodowym kościele, marjawici, buddyscy polscy i nietzscheaniści. Stąd tołstojowcy i mistycy.

— Więc skrzepić lud. Niemal stworzyć naród na nowo...

— I potem mieć go w dłoni, jak miecz — jednolity, potężny, straszny...

Zapłonęły mu oczy, zniechęca spojrzawszy poza siebie i rzekł cichutko:

— Ja chcę mieć ten największy, najsilniejszy z narodów...

— O czym ty myślisz? Co potem? Henryku! — drżał jej głos, sama nie wiedziała czemu.

Lecz on złął się samego siebie. Jakoś bezzilnie machnął ręką i głowę spuścił na piersi. Długo patrzyli w jezioro, wreszcie rzekli:

— A czy wiesz ty... co to jest... papierowa korona...

Kiedy siedział wieczorami przy oknie z półprzymkniętymi oczyma, piosenka zdaleka mąciła mu marzenia.

Skrzypiały huśtawki i ze wszystkich końców Słobódki leciała ta białoruska piosenka, wesola w treści, a smutna w przedziągłej, jesiennej zaiste melodji:

... Kęga ja była ma-a-a-la,

Mienia mama kałycha-a-a-la!

Kęga stała podrasa-a-a-ti,

Stali chłopcy kałycha-a-a-ti!...

W tej ciszy muzycznej marzą on i Zygmunt. Słychać też oddech jeziora, które już roztajało i pełne jest błękitu wieczornego.

Oto jest miłość ziemna — rzekł Zygmunt.

Słowa te przywodzą obydwu na myśl przedziwny obraz Tycjana. Na umarłym fontanny basenie siadły dwie postacie: jedna w szacie o fałdach lamliwych, długich, nieco sztywnych. Oparła się na krawędzi wazy, w drugiej dłoni pęk kwiatów tryma. Ma oczy pełne tajemnicy, a na ramionach złote, przecudne włosy.

Zato droga postać jest w całym bogactwie nagości. Twarz ta sama, jeno oczy bez tej nieziemskiej powagi. Nad wodą basenu amerek, a za niemi kępa drzew i rozległe krajobrazy. Trawa — vert d'émeraude. Cokół basenu — blanc chinoise.

Miłość ziemna i niebieska.

Zygmunt snuje dalej swą myśl, pewny, że Henryk o Tycjanie pamięta.

— Miłość na ziemi jest tak naga, jak ziemia-matka, bo macierzyństwo jest celem miłości ziemskiej. Wszystkie kobiety na ziemi — to matki. Wszystkie służą swemu bogu, wedle sił swoich, a że tu i owdzie znajduje się dusza istotna w kościele, to wyjątki potwierdzają tylko regułę. Wspomnij twą siostrę, Madonnę Marię.

Henryk powiada:

— A niebiańska miłość — to Nieznane. Oto jest pole dla Zdobywców: wydzieścić Tajemnicę obszary terrae incognitae.

— O tem marzysz?

— Nie, dalej marzenie moje sięga.

— A czyn, czyn? — pyta gorączkowo Zygmunt.

— Czyny są w marzeniu — z niewiarą i niechęcią odpowiada Henryk. I milczą.

N O W : N A .

Jedli obiad. Pełno było woni groszku i nasturcji w cienistej altanie ganku. Fantastycznie krojone liście dzikiej winorośli splotły się kaskadami na kraty. Na ganku przy stole zasiedli wszyscy, radośni i dziwnie cisi.

Wnoszono właśnie na talerzu drewnianym olbrzymie, pęknięte granaty, gdy tętent rozległ się przed gankiem na drodze do Słobódki.

Cwałował jeździec wspaniały na niesłychanej piękności koniu. Włosy rozwiane złotą aureolą, zapalały się i gasły na greckiej głowie, dłonie mocne dzierżyły twa, do potężnego rumaka.

Jak zjawa! Bellerofon na Pegazie!

A koń przed gankiem piętrzy swe siwe cielisko, kłębi się, staje dębem, aż wiszą nad stołem potworne kopyta. Poskromił go wreszcie jeździec. Zeskoczył. Idzie do Henryka. Ściskają sobie dłonie. Poznali się.

— Włodzimierz!

— Potocki! — woła Madonna Marija, która go widziała, gdy stał w zadumie orlej w kaplicy wawelskiej.

Reszta w milczeniu pożera oczyma cudną postać i wspaniałą głowę.

Ściska dłonie wszystkich.

— Ja z wami, — mówi — ja z wami.

A w dzień Wielkanocny to było, w dzień Wielkanocny.

DO PRZYJACIÓŁ.

W TEATRZE, KABARECIE, KOCHANKI POKOJU,
W ZAULKACH MROCNYCH ULIC, KINIE, LUPANARZE,
PO NOCY NIEPRZESPAŃEJ I DNI SZARYCH ZNOJU —
WIDZĘ WASZE ZMĘCZONE I CYNICZNE TWARZE.

GDY SZMERY KAWIARNIANE SIĘ UKOJĄ W CISZĘ
I LECĄ MYŚLI SZYBKICH JADOWITE STRZAŁY,
JAK SUFLERA W TEATRZE, GŁOSY WASZE SŁYSZĘ:
NIEZRÓWNANIE WESOŁE I SPROSNE KAWAŁY.

BO ŻYCIE JEST JAK DOWCIP TŁUSTEJ ANEGDOTY,
TEM CIEKAWSZE, IM WIĘCEJ W NIEM SIĘ PIEPRZU MIEŚCI,
BO PIERSI NAGICH KRĄGŁOŚĆ I RAMION OPLOTY
SĄ FRAGMENTEM PISANEJ PRZESZŁOŚCI.

WIĘCEJ ŚMIECHU Z MIŁOŚCI I Z SAMEGO SIEBIE,
A SOBOTY I PIĄTKI BĘDĄ JAK NIEDZIELE!
WIĘCEJ KWIATÓW NA ZIEMI, WIĘCEJ GWIAZD NA NIEBIE,
WIĘCEJ ŁGARSTWA I KPIARSTWA, MŁODZI PRZYJACIELE!

CHŁOSTAJMY SWĄ IRONJĄ WIERZENIA I SĄDY,
BICZUJMY OSTRYM ŚMIECHEM NASZE WŁASNE DUSZE!
MY JESTEŚMY DALEKIE I JAŁOWE ŁĄDY,
WIATRY CHŁODNE I MROŻNE W ŚWIATÓW ZAWIERUSZE.

WASZE ŻYCIE, JAK FAŁA RZEK MIEJSKICH, SIĘ TOCZY,
WASZE MYŚLI SIĘ SNUJĄ, JAK PO DACHACH KOTY,
WŁOSAMI KOBIECEMI ZAŚLANIAMY OCZY,
NIEZDOLNI DO NICZEGO, KROM JEDNEJ PIESZCZOTY.

LECZ WIERZE: COŚ SIĘ STANIE NA ZIEMI, CZY MORZU,
COŚ, CO JAK BURZA PRZEJDZIE, JAK WICHER ZAŚWISTA,
ŻE KTÓRYŚ Z NAS NARESZCIE NA NIEPRAWEM ŁOŻU
POTWORNEGO NAD RANEM SPŁODZI ANTYCHRYSTA.

SERGJUSZ ZIEMIC.

KSIEŻYC I DZIEWCZYNY.

W SELEDYNOWE, WERLENOWSKIE NOCE,
GDY KSIEŻYC SREBRNE WYDZWANIA TERCYNY,
WZBIERAJĄ W DUSZY LUNATYCZNE MOCE —
IDĄ NA SCHADZKĘ Z KSIEŻYCEM DZIEWCZYNY.

STĄPAJĄ PIĘKNE W POŚWIACIE, JAK DUCHY,
I PŁAWIĄ CIAŁA W MIESIĄCA MAGNEZJI
I LUBIEZNEMI ODDAJĄ SIĘ RUCHY
RÓZPUŚCIE SŁODKIEJ I PEŁNEJ FINEZJI.

I KSIEŻYC PIEŚCI I CAŁUJE CIAŁA
I SPERMĄ SREBRNĄ ZAPŁADNIA DZIEWCZĘTA.
I PIERS FALUJE, JAK ZASŁONA BIAŁA,
ZDARTA Z OLTARZA W DZIEŃ WIELKIEGO ŚWIĘTA.

A GDY OBUDZĄ SIĘ DZIEWCZYNY SENNE,
KRYJĄC W SPOJRZENIU ZAGUBIONĄ CNOTĘ,
PÓJDAJ PRZEZ MIASTO CICHE I BRZEMIENNE,
NIOŚĄC PŁÓD NOCY — SMUTEK I TĘSKNOTĘ.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI.

SPONTANIZM.

MYŚLI O DUSZY I SZTUCE.

1.

Cokolwiek i jakkolwiek tworzymy, sami sobie jesteśmy materialem. Istotne bowiem tworzywo czerpiemy zawsze z duszy.

Porządkując ekonomicznie spostrzeżenia, wznosimy dumną piramidę wiedzy, z tęsknot i upodobań skonstruowaliśmy religję, na względnie obiektywnym fundamencie wiedzy piętrzymy z myśli fantastyczne wieżycy filozofii.

Najodważniej uwija się artysta. Świętych i wojowników ogniem płonąc, metafizyki strzelistość zaślubiwszy, zwierza czujność i uczonego spostrzegawczość zmobilizowawszy, to tu, to tam ramionami strzela, największe i najmniejsze, groźne i łagodne, zrozumiałe i tajemnicze ciężary porywa i w niespodziankę artystycznego pomysłu zestawia.

Bo cóż jest ciałem koncepcji artystycznej? Kilka spostrzeżeń, kilka wyobrażeń, jakaś fela uczuciowości, jakieś skojarzenie pojęć, jakaś tęsknota lub popęd. Duchem zaś, który koncepcję artystyczną ożywia, jest jedność, samostanna, nieprzewidziana synteza.

2.

Spostrzeżenia, które wśród składników koncepcji artystycznej na pierwszym miejscu wymienilem, to dzieła naszych zmysłów. Nie będę ich szczegółowo rozbięrał, bo nie piszę podręcznika psychologii analitycznej. Zresztą teoretyczna podzielność żywych kompleksów psychicznych nie odpowiada niczemu w praktyce życia, a sztuka jest właśnie praktyką i właśnie życiem.

Dla ujednolinitenia nomenklatury i usunięcia nieporozumień będę odąd wszelkie funkcje zmysłów nazywał wrażeniami. Wrażeniem będzie więc najprymitywniej-

sze zobaczenie nic nie oznaczającej plamy zieleni oraz spostrzeżenie mądrze skomplikowanej maszyny, wrażeniem będzie usłyszenie wystrzału i poczucie zapachu poziomek.

Wrażenia podzielimy wedle jakości zmysłów na kilka klas: na klasę wrażeń wzrokowych, słuchowych, węchowych, dotykowych i smakowych. Ze względów ekonomicznych nie ustanawiam specjalnych klas dla wrażeń mięsniowych i ciepłych, ale wrażenia te włączam do klasy dotykowej.

Wrażenia zmysłu organicznego czyli tak zwaną cenestezję traktuję częścią jako zjawiska dotykowe, częścią zaś, ponieważ chodzą w parze z nastrojami, uczuciami, pragnieniami i popędami, zaliczam je do innych grup psychologicznych, które niebawem poznamy.

Tak więc uporaliśmy się z grubsza z porządkowaniem tych zdarzeń psychicznych, które dostają się do naszej świadomości cudownymi tunelarni zmysłów.

Ale oto smak brzoskwinii można nie tylko czuć; można go sobie także wyobrazić. To samo powiedzieć trzeba o zapachu róży i widoku topoli.

Wyobrażenia, jak przed chwilą wrażenia, podzielimy na następujące klasy: wzrokową, słuchową, węchową, dotykową i smakową. Podział ten najzupełniej jest jasny i żadnych komentarzy nie wymaga.

Smutek, melancholję i rozpacz, pogodę duszy, radość i zachwyt oraz wiele innych, a bardzo podobnych i każdemu doskonale znanych zjawisk psychicznych zgromadzimy pod etykietą zdarzeń wzruszeniowych, uczuciowych i nastrojowych. Dla krótkości nazywać je będziemy nieraz poprostu uczuciami, a jeżeli zajdzie potrzeba precyzowania pojęć, użyjemy imion specjalnych: wzruszenie, uczucie, nastrój.

Zjawiska woli dzielą psychologowie na czynności odruchowe, popędy i wolę w znaczeniu ściślejszym. I słusznie. Wszelkie bowiem tęsknoty i pożądania, wszelkie bohaterstwa i poświęcenia zmieszcza się w tej skrzyneczce, jeżeli tylko przyznać, że ich „zabarwienia uczuciowe” zmuszają nadto do zastrzeżenia im praw obywatelskich także w dziedzinie wzruszeń, uczuć i nastrojów.

Na żywym tle wrażeń, wyobrażeń, uczuć i chęci łatwo zobaczyć myśl.

Myśleć — znaczy przerabiać intelektualnie majątek świadomości. Tworzenie sądów oraz wnioskowanie — to formy tej czynności. Wnioskowanie jest formą wyższego stopnia, polega bowiem na specjalnym, logistycznym kombinowaniu sądów.

W szczegółową analizę myślenia nie będziemy się zapuszczać, ponieważ nie potrzebujemy tego do celów, któreśmy sobie w niniejszej pracy wytknęli.

3.

Skasyfikowawszy zdarzenia, spróbujmy przyjrzeć się im ze stanowiska artystycznego.

Przypuśćmy najpierw, żeśmy muzykami. Językiem dźwięków wypowiadamy dusze, tworząc w ten sposób ciało kompozycji. Dusza nasza — to oczywiście wrażenia, wyobrażenia, uczucia, myśli i chęci. Więc jakoż?

Otośmy w lesie. Dzwonią i na fletach grają gardziolki ptasie, w akord ultramuzyczny ziały się brzęki much, szumią konary, trzeszczy pod stopą pręt. Cichym, aksamitnym, nabrzmiałym belkotem ozywa się krynica. Zresztą — milczenie. Zielonozłote płaszczyzny słońca wiszą w koronach drzew. Sto pni, a każdy inny. Kwiaty, mchy, tu i ówdzie cetyny rudofioletowy płat. Stąpamy miękko. Jak ciepło! Co za woń! Porywa nas dziecin a niby, a zarazem męska i zwierzęca ochota zrzucenia szat i tarzania się w siwym, głębokim mchu. Nie hby te miedziane, maleńkie gałązeczki smreka polectały, podrapały skórę! Czemu nie można wrócić, wsiąknąć w las? Co za ogromna bania nieprawdopodobnego wzruszenia pulsuje w piersi! Nagle przychodzi myśl: panteizm ma jednak sens. Nie krytykujemy sądu, bo już przeminął. Miejsce jego zajęły jakieś półwyobrażenia, półmyśli o greckich driadach. I znowu fala: kobieta. Na pierwszy plan wyobraźni wypływa naga bogini.

Co to wszystko jest? Las i my. A właściwie tylko my: wrażenia, wyobrażenia, uczucia, myśli i chęci.

Ale mieliśmy siebie wyrazić językiem dźwięków. Próbuje!

Śpiew ptaka — to przecie flet. Nie, to flauto piccolo. Zapisujemy frazy, notujemy drabinkę trylu postępowego.

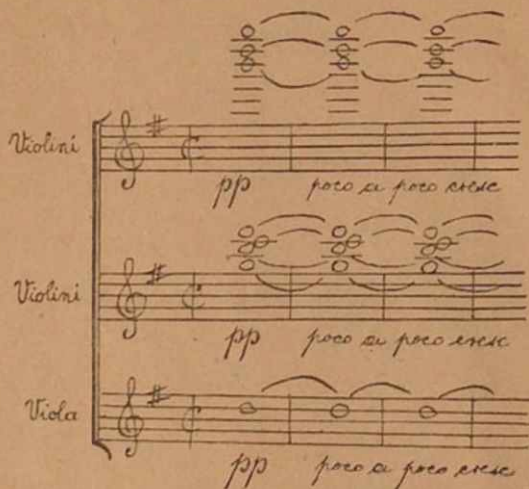
Muchy — — Już trudniej. Niby akord, ale jaki? Stylizujemy wrażenie i ustalamy w wyobraźni trójdźwięk: g" h" d".

Grają oczywiście skrzypkowie. Trzy unisona.

A jednak mało. Dodajemy jeszcze trzy głosy, a wyżej. Stanowczo g dur. Pozycja oktawa.

U dołu zagra altówka. Oczywiście kwintę. Słuchajmy!

Mam ochotę dopisać jeszcze jeden ton. C. Przymglę harmonję, ale tak właśnie trzeba. Oto partytura:



Dobrze?

Z szumem konarów — kłopot. Najpodobniej brzmi jeszcze niski rejestr fagotu kontrafagot. Roztremolujmy tedy drzewo! Tak? Prawie.

Trzask prętu — to suche *pizzicato*. Drobiazg.

A bełkot źródła? W każdym razie wrażenie słuchowe, któremu słuchowy język muzyki godziwem echem odpowiedzieć potrafi.

Co jednak począć z zielonozłotymi płaszczyznami słonecznego światła, które wiszą w koronach drzew? Jak oddać setkę pni, jak wygrać kwiaty, cetynę, mech?

Poczynamy zazdrościć malarzowi...

A miękkii, w mchach tonący krok?

Maćżeje przed nami widmo taktylizmu, o dotykowej sztuce sen...

A woi?

A ta ogromna bania nieprawdopodobnego wzruszenia, co nam w piersiach, jak tysiąc serc, pulsuje?

Lecz nagle wraca ufnosc. Z uczuciami — tak przecie łatwo! Chwytny olówek: zaświtała w wyobraźni najodpowiedniejsza fraza —

Nie przeocza jmy jednak, żeśmy w tej chwili nie uczucie samo ani uczucia podobiznę, lecz tylko pewien uczucia odpowiednik pisać gotowi.

Odpowiedniki takie nazywamy symbolami. Tym razem był to symbol słuchowy. Można by w ten sam sposób przepatrzyć ów las, a raczej ową chwilę życia psychicznego — ze stanowiska malarzkiego. Okazałoby się natychmiast, że tylko wrażenia i wyobrażenia wzrokowe mogą być po malarzku naśladowane. Podobizny wrażeń i wyobrażeń słuchowych, węchowych, smakowych i dotykowych nie istnieją w języku malarzkim.

Teoretyzując w ten sposób dalej, doszlibyśmy do postulatu istnienia tylu sztuk, ile jest zmysłów.

Sztuką, która bez udziału zmysłów — pomijam akustykę języka — przemawia wprost do wyobraźni i wszystkimi rodzajami wyobrażeń operować może, jest poezja. Dołączając tedy do wspomnianych wyżej sztuk poezję, zdobylibyśmy sposób naśladowania wszelkich wrażeń i wyobrażeń środkami jednego artysty.

4.

Krótką chwilą namysłu wystarczy jednak, by takim sztukom odmówić miana sztuk. Byłyby to raczej specjalne umiejętności lub kunszty, których niewolnicza od wrażeń i wyobrażeń zależność nie ściągała ku sobie, nie porywała człowieka na pijane sabaty najwspanialszej na świecie rozkoszy. Najzuchwalsze piękno wyobrażeń konałoby na progu każdej takiej pseudoartystycznej pracowni, ustępując miejsca rozsądze i tej niższego stopnia kontentacji, która towarzyszy łatwemu wykonywaniu przedsięwziętego zadania.

Szczęściem i racją bytu wszelkiej sztuki pięknej jest swoboda, która się często wyda zuchwałością. Nie waham się za prawo estetyczne uznać sądu, że estetyczny potencjał dzieła jest wprost proporcjonalny do kwantum artystycznej zuchwałości autora. Była tylko zuchwałość naprawdę była zuchwałością, a nie aktorskim zuchwałości udawaniem.

Wyobrażenia różnią się tem od wrażeń, że nie zależą bezpośrednio od przedmiotów. Wewnętrzna przyczynowość wyobraźni zasłoniło subiektywne poczucie, że wyobrażenia są tworem jaźni. Sztuka jest żywiołem subiektywnym i tylko subiektywne dostatki artysty mogą ją obchodzić. Nic więc dziwnego, że każdy prawdziwy artysta przeniesie wyobraźnię nad otaczający go świat zewnętrzny. Jeśli jednak świat zewnętrzny nie stracił dotąd wszelkiej w oczach sztuk pięknych wartości, to nie stało się tak dlatego, że zmysły nie poznały jeszcze wszystkiego, do rzeczy zaś już znanych odnosimy się — zależnie od stanu uczuciowego — coraz inaczej, a czasem wprost zadziwiająco. Egzotyczność wdziawa niekiedy szatę codzienności.

Jest gałąź sztuki, która wrażeniom i wyobrażeniom dotąd względnej wierności dochowała. Nazywa się epiką. Wyniosłszy poza nawias upodobań uczucie, myśli i popędy, konstruuje epik dzieła sztuki z podobizn wrażeń i wyobrażeń. Dokładniejsze rozpatrzenie tego niezmiernie ciemnego i przez powierzchowne „teorie literatury” ciągle w ciemnościach strzeżonego zagadnienia odkładam do specjalnej rozprawy, której napisanie jest, jak to mówią, już tylko kwestią czasu.

Zastanówmy się teraz nad wyrażalnością, a tem samem artystyczną wartością uczucia, którego niezmysłowość jest rzeczą niezawodnie pewną. Nikt uczuć nie widział, nikt nie słyszał ani dotykał, niczego jednak lepiej nie znamy nad własne uczucia. Mielizbyśmy więc zrezygnować z artystycznego ich spożytkowania?

Są w słowniku każdego języka nazwy wzruszeń, uczuć i nastrojów, ale łatwo je zdyskredytować.

Cóż bowiem znaczą wyraz „smutek”? Niby jeden stan duszy nazywając, nazywa właściwie niezmierną stanów duszy ilość. Mówiąc tak wiele, nie mówi nic. Jest ogólnikiem. Zresztą zaś martwa nazwa językowa nie może być uważana za artystyczny wyraz uczucia. W sztuce ujrzymy nominalizm jedynie w roli herolda, który widzowi obwieszcza, jaki nadchodzi pan.

Artystycznego wyrażania uczuć odróżniam metody trzy.

Najłatwiejszą, najmniej twórczą i artystyczną, lecz na szczęście przestarzałą już metodą jest pokutująca dotąd w lichych publikacjach literackich metoda opisywania przyczyn stanu uczuciowego, jako że są to rzeczy z uczuciem bądź co bądź związane, a w dodatku najczęściej właśnie zmysłowe. Chcąc czytelnika o smutku swym poinformować, opisujemy n. p. autentyczny pogrzeb ukochanej, który nas w smutku pogrążył.

Prawdopodobieństwo, że czytelnik dowie się z takiego utworu, jak wyglądało uczucie autora, nie jest wielkie. Albowiem pobudki, które uczuciowo działały na autora, mogą być obojętne czytelnikowi. By jednak czytelnika osaczyć, pomagają sobie autorowie naturalizmem, który definitywnie atakuje wyobraźnię, oraz subiektywnymi określeniami, które składnikiem autentycznego zdarzenia wstrzykują pod skórę określony ładunek uczuciowy i wyznaczają w ten sposób kierunek ataku na wynurzającą się z poza wyobrażeń sympatię czytelnika.

Metodę wyrażania uczuć przyczynami nazywam metodą kauzalistyczną.

Kauzalizm uległ przemożnemu naporowi metody znacznie artystyczniejszej, którejśmy już z lekka dotknęli, a którą od dawna nazywają symbolizmem.

Symbolizm głosi mądrą i zaiste zbawienną ewangelję: nie trzeba — mówi — wracać wstecz i grzebać w popielisku przyczyn, ale skutkowi takiego poszukać odpowiednika, który go mistycznie w zmysłowym ciele zmieści i przez zmysły lub wprost przez wyobraźnię w uczuciowość widza, słuchacza lub czytelnika z rozkazem wejść potrafi.

Mechanizm działania symbolu da się łatwo wyjaśnić. Symbolista liczy na związki wrażeń i wyobrażeń z elementami życia uczuciowego. Jeśli wyobrażenie trumny przynębia, widok młodzieńkiej zieleni przeważnie rozwesela i bezprzedmiotową niejako otuchą napelnia, a usłyszenie samotnego, *con forza* i *staccato*, a nisko na fortepianie zagrane trójgłosu *b moll* każdego niemal przerazi i zaniepokoi, to chyba wolno mówić o związku elementów duszy zmysłowych z niezmysłowymi.

Człowiek surowy, z rozlicznymi wrażeń i wyobrażeń odcieniami nieobeznany, a w interpretowaniu symbolów niewprawy nie zdoła wszystkiego wyczuć, co w skom-

plikowany utwór symbolistyczny zaklęto. Cieszą się jednak symboliści nadzieją, że taki dzieł odbiorca, co stoi na odpowiednim poziomie i psychikę ma do psychiki artysty choć trochę, co zresztą w pewnym stopniu bezwzględnie przypuścić musimy, podobną, dostrzeże treść uczuciową czyli wykładnik każdego symbolu.

Tu odrazu zastanowimy się nad symbolizowaniem czystej myśli, która w najprostszej, niezmysłowej — znów pomijam akustykę wyrazów — formie językowej nie ma wartości artystycznej.

Gdybyśmy, pisząc lub czytając, mogli sobie uświadamiać całe to bajeczne wprost misterjum zapasów formy z treścią, które spoczywa dziś, jak mumia, w sarkofagu zmechanizowanych i krwi wyobrażeń doszczętnie niemal • pozbawionych wyrazów, miałyby dla nas najprostsze zdanie urok migotliwego, a nawet burzliwego życia. Ponieważ jednak ani onomatopeje, ani wewnętrzna obrazowość wyrazów, którymi z przyzwyczajenia nazywamy pojęcia, nie docierają w normalnych warunkach do naszej świadomości, a jeszcze tylko nazwy materialnych przedmiotów kojarzą się z odpowiedniami, choć często mglistymi wyobrażeniami, zgodzić się musimy na sąd, że artystyczna forma myśli jest jedynie forma symboliczna, a więc przenośnia szczegółów i przenośnia całości, zwana alegorią.

Mówimy wciąż o literaturze: czyżby więc malarz i muzyk nie mogli wypowiadać myśli?

Brak malarzowi i muzykowi utartych, łatwo zrozumiałych symbolów, któreby odpowiadały słownikowi literata. Ale właśnie dlatego przypomina mi malarskie i muzyczne symbolizowanie myśli tę naprawdę twórczą, dziś już tak niezmiernie rzadką i przez wielu zupełnie zapomnianą epopoją kształtowania form językowych dla pierwszych pomysłów ludzkości...

Symbolizowanie uczuć jest dla malarza rzeczą zupełnie łatwą. Przypominam genialnie trafne motywy, którymi Ryszard Wagner ilustruje uczucia swych bohaterów, oraz choćby rysunki Grotzgera, z których się chyba każdy, kto je widział, boleści napił i zgrozy.

Oczyszczoną z wyobrażeń wolę mam ochotę nazwać szczególną postacią uczucia. Przerazi to może zwolenników woluntarystycznej metafizyki, niech mię jednak rozgrzeszą choćby przez wzgląd na ekonomję wykładu. Wyobrażenia, które woli towarzyszą, do odpowiedniej klasy odesławszy, możemy o symbolizowaniu woli to samo powiedzieć, cośmy o symbolizowaniu uczuć powiedzieli.

6.

Lecz oto pora przejść już do trzeciej metody wyrażania siebie czyli do spontaizmu. Dlaczego taką nazwę obrałem, zrozumiemy bez trudu, gdy poznamy zasadę spontaizmu.

W istocie jest spontaizm tylko wyższym, oczyszczonym stopniem symbolizmu. Różni się od pospolitego symbolizmu wzgardą, którą żywi dla wszelkiego poszukiwania symbolów.

Istotą talentu artystycznego (ściślej: twórczego) jest zdolność i popęd do żywiołowej, wyzwolonej z jarzma intelektu i zdawkowego estetyzmu, syntetycznej i najwyższą rozkosz sprawiającej symbolizacji duszy.

Żywiołowość symbolizowania wymaga żywiołowego materiału. Wtedy bowiem jedynie, gdy materiał będzie żywiołem, błysnąć może ta czysta, nad wszystko świętością rodzaju i pewnością kształtu wyniesiona zgoda wezbranego jeziora i olbrzymiej dłoni, która je całe jednym haustem wyczerpie.

Wśród elementów, które stanowią duszę, najbardziej żywiołowe jest uczucie oraz — uśmiechnięty wolałoby się powiedzieć — wszystko, co z tego uczucia w ślepy, bezwzględny wyrasta popęd. Zależnie od indywidualności może i wyobraźnia, a nawet myśl dorosnąć potęgą żywiołu. Dzieje się to jednak tylko wtedy, gdy wyobraźnia i myśli zaspokajają właśnie wybujałą potrzebę funkcjonowania wyobraźni i intelektu. Wyobrażeniom i myślom towarzyszy wtedy uczucie ogromnej rozkoszy.

Nazwalismy przed chwilą istotę talentu twórczego zdolnością i popędem do żywiołowego symbolizowania duszy. Wypada jeszcze choć krótko objaśnić mechanizm symbolizacji.

Świadomość twórcy jest dziwnym kryształem, który nie tylko biernie zdarzenia ugascza, ale je tak przez siebie przepuszcza, że tracą postać przyrodzoną, a przybierają nową, aby rozpocząć żywot uwielbiony w państwie walorów artystycznych.

Nie szukając, nie goniąc zdobyczy, otwiera artysta raz po raz szczęśliwie ramiona, by przyjąć nadchodzące oto, jak we śnie, samoistne, niezrównanie niekiedy doskonałe symbole uczuć, wzruszeń i nastrojów.

Z faktu, że spontaniczne symbole gwałtownych afektów są rzadkie wnosze, iż symbolizacja spontaniczna rozwija się najłatwiej na spokojnej powierzchni duszy. Dla uniknięcia nioporozumień ostrzegam, że symbolów afektu nie należy identyfikować z wyobrażeniami, które towarzyszą rodzącym się z afektów popędom.

Wypowiadając bieżące myśli ustnie, posługuje się bardzo często metaforą, porównaniem z alegorją. Na podstawie doświadczenia, które w przeważnej części wypadków nie stwierdza specjalnego wysiłku, sądzę, że i myśl symbolizuje się artyście samorzutnie, a tak szybko i łatwo, iż symbol wyprzedza poprostu ujęcie czysto gramatyczne.

Ostateczny wygląd symboliki zależy tu niewątpliwie od uczuć, które stanowią tło myślenia. Dotykam tej zależności, by mi nie rozumiano mylnie i nie sądzono, że, zapalem stylizatora uniesion, przeoczę krzywdę prawdy.

Tworzenie dzieła jest kojarzeniem symbolów w płaszczyźnie formy.

Wpływu formy czyli — ściślej mówiąc — wpływu konieczności kojarzenia symbolów właśnie w płaszczyźnie formy na postać dzieła omawiać nie będziemy. Wymagałoby to bowiem znacznego zwiększenia wymiarów rozprawy i oddaliło nas od mety, do której dobiegamy. Jeszcze tylko jedno ogólne prawo zastąpi analizę i określi wartość niesłychanie skomplikowanych procesów asocjacyjnych, których łożyskiem jest chwila tworzenia. I — spocznijmy. Oto ono:

Dzieło spontaniczne jest przestrzennym i czasowym symbolem przestrzennego i czasowego momentu psychicznego.

Przez przestrzenność rozumiem w tej chwili złożoność kompleksu psychicznego i odpowiednią złożoność symbolu.

7.

Nakreśliłem szkic teorii, którą należałoby niejednym jeszcze kierunkom rozwinąć i uzupełnić. Żywię nadzieję, że spisanie tych kilku myśli ułatwi mi poprostu dalsze sprawy rozważania.

Czytelnikami niniejszej pracy będą artyści i nieartyści. Artystom, którzy tyle widzą, nie powie ona może nic nowego, nieartystom jednak pokaże proste, choć niewydeptane ścieżki, któremi podejść można pod samo serce sztuki.

TADEUSZ BOCHEŃSKI.

Na czoło XXVIII-go zeszytu „Skamandra” wybija się przedliczny wiersz Lechonia, jeden z najpiękniejszych utworów autora „Karmazynowego Poematu”. Odlęczny temat „tańca miłości i śmierci” — znalazł tu nowe, pełne prostoty i cudownej głębi ujęcie. Twórca „Hilarego”, najciekawsze z ostatnich powieści, do której jeszcze na łamach „Reflektora” wrócimy, rozpoczął piękną powieść poetycką „Wieczór u Abdona”. Iwaszkiewicz i Lechoń stanowczo przerastają o głowę innych skamandrytów. Z pozostałych utworów wyróżniają się ładne erotyki Wierzyńskiego i piękny przekład „Lisa” Jesienina przez Podhorskiego-Okołowa.

Rytard przełożył poprawnie wiersz Orzeszyna „Nierukotworny”, — tylko tytuł „Nadprzyrodzony” nie oddaje subtelności oryginału.

Pozatem zasluguje na uwagę cięty artykuł Słonimskiego „Rudy do budy”, naśladujący świetnie styl i manierę Nowaczyńskiego.

Szkoda, że Varla, w których „Skamander” walczy z tandetą i miernotą naszej pseudo-literatury, ukazał się dopiero w następnym numerze, na który znów trzeba będzie z parę miesięcy czekać. Kaj.

Czwarty numer „Zwrotnicy” pod względem literackim przedstawia się o wiele słabiej od poprzedniego. Z oryginalnych utworów wyróżnia się proza poetycka Jana Aldena. Liczba 1917 podpisana pod nią świadczy, że utwory te powstały wcześniej i niezależnie od imaginizmu, który tak przypominają. Zakończenie „Mojego Pomnika” Mieczysława Brauna mocno „traci” podobnym pomysłem w wierszu Wasyła Kamińskiego. Lepszy drugi wiersz Brauna — „Robota dla poetów”. Bruno Jasieński niepotrzebnie naśladuje ekstrawagancję Apollinaire’a w swym plastycznym „Morzu”. „Hamlet” w Elsynorze Szekspira ciekawszy od „Hamleta w piwnicy” Czyżewskiego. „Przemiany” Owidjusa lepsze od „Przemian” Sterna — Przekład „Spowiędzi huligana” Jesienina (nie Jessienina!) wypadł Jasieńskiemu gorzej od przekładu „Naszego marsza” Majakowskiego: nie można nadużywać przy czasownikach obcych duchowi języka polskiego zaimków osobowych „ja” i „on”. Jesienin twierdzi, że jest najlepszym poetą w Rosji, Jasieński powątpiewa i dodaje „może”. Tłumaczyć „wy naprawdę stali niekрасiwiymi” — „już napewność nic nie urosło” (dla asonancji — Rosji) jest co najmniej śmieszne. Dobrze byloby umówić się ostatecznie, jakiej pisowni będzie używał poeta — ogólnie przyjętej, czy tej ze swego „Manifestu” — nie pisze się „habry”, lecz „chabry”, zamiast „mrzy” — mrzy”, w ostatnim wierszu nie „w tą stronę”, lecz „w tę stronę”.

Z działu krytycznego najciekawsza rozprawa Nicolas Beauduin’a „O potrzebie nowej techniki poetyckiej” i M. Szczuki o sztuce. Argumenty Peipera w obronie krakowskiego prowincjonalizmu „wartość” nie są przekonujące. Nie chodzi o użycie formy „jest warto”, lecz „wartoby” zamiast rażącej „wartaloby” — będzie to nawet o jedną sylabę ekonomicznej, o co tak Peiperowi chodzi.

Uwagi o cyrku bardzo słuszne i ciekawe. Natomiast napisać na Iwaszkiewicza pod niedopuszczalnym dla poważnego pisma nagłówkiem zupełnie niesmaczne.

Na korzyść „Zwrotnicy” trzeba zapisać utrzymywanie stałego kontaktu z zagranicznym ruchem artystycznym. Kaj.

Życie muzyczne płynie w Lublinie dwoma łóżykami, z których tylko jedno nazwać możemy łóżyskiem artystycznym. Drugie bowiem jest polem wzajemnej adoracji dyletantów i megalomanów. O niem wolimy milczeć.

Pierwsze — wyłobila cicha, nieznaną nawet dobrze Lublinowi, uparta wola tych organów Towarzystwa Muzycznego, które nie wdając się w kompromisy z antyartystycznym i kulturoburczym kółkiem „sfer”, ale z obowiązkami i zamilowania stereją się wśród piekącego gradu obojętności o rzetelne, prawdziwie artystyczne koncerty.

Spraważono znakomite Trio Pożniaka, sprowadzono pierwszorzędnych pianistów: Feliksa Szymanowskiego, Pawła Schramma i Józefa Turczyńskiego, dano nam słyszeć doskonałą artystkę-spiewaczkę, Stanisławę Szymanowską.

To były szczyty. Zstępując niżej, wymienimy nadto skrzypków: Borysa Kroyta i Juljana Pulikowskiego, wiolonczellistkę Marię Schrammową, Kwartet Polski.

Na tle szarej albo — i tak bywał — jarmarcznie psrej, krzykliwej, a nicwartej rzeszy estradowców miejscowych widzimy człowieka, któremu należą się tutaj choć dwa słowa uznania. To Paweł Lewiecki. Wystąpił w sezonie kilkakrotnie, grał solo i z orkiestrą, którą zresztą niełatwo było ad hoc skombinować.

Ala oto dwa słowa, któreśmy pěníście przyrzekli: **prawdziwy artysta.**

Z braku miejsca nie możemy się dokładnie zająć sprawami szkoły Towarzystwa Muzycznego. Wolemy tylko, że doszły nas wieści o kracie, ale coraz bliższej światła robocie Komitetu Towarzystwa i niekomitetu, która podobno zmierza do zmiany osobistej na stanowisku dyrektora szkoły.

Pytamy, czy znajdziecie lepszego, niż obecny!

Ostrzegamy, że uwzględnianie czarnej polityki, zadowalanie niedźnych ambicjek i dogadzanie rozleniwiałemu kółku kosztów szkoły, uczniów i muzyki jest zbrodnią!

J. R.

Teatr Miejski idzie drogą najmniejszego oporu i kompromisu z gawiedzią.

Oporu czyli trudność dobierania repertuaru oraz inscenizacji sprowadził sobie do minimum, przyjmując zasadę malpowania. Malpuje z ultramalpią skrupulatnością teatry warszawskie: każda niemal tandeta, którą korzystnie handluje Warszawa, wchodzi na scenę lubelską.

To jest normalny bieg życia Teatru Miejskiego. Oprócz tego miewa Teatr Miejski co jakiś czas gości Adwentowicz, Frenkel, Chmieleński, a obok nich typowy dla bezmyślności warszawskiej, płytki historjon, Fertner. Jest różnica między komizmem a błazniństwem. Fertner służy błazniństwu.

Dla Adwentowicza wprowadzono na scenę dramat germański, dla Frenkela zafranzowano do komedji polskiej. Chmieleński jakoś nam szarzał: obok Maeterlincka gra głupstewka.

Ala wróćmy do zespołu lubelskiego!

Brak mu naogół wyższych aspiracji. Był się podobać gawiedzi — oto jego dyrektywa. A czasem za-biegować, że się ma linję N. p. zagrać niepoetycznie „Wesele”. I wściekać się na krytyka, który się o po-jezję Wyspiańskiego upomni.

Bo trzeba i to wiedzieć, że Teatr Miejski uznaje i ceni jedynie taką „recenzję”, która mu schlebła. Choćby w najbezmąglniejszy sposób! Był tylko dyr. Grodnicki był artystą z Bożej łaski, był ta lub owa miera-nota stała wyżej, niż „na wysokości zadania” i t. d.

Nie możemy przemilczeć, że wśród aktorów lubelskiego teatru jest małeńka garstka talentów. Bielecki i jeszcze dwoje, troje. Nikt ich jednak nie prowadzi.

Krytyki teatralnej od szeregu miesięcy niema. Politykujący nawet w recenzjach, a dla urozmaicenia ma-lażem Lusia Rydla mianujący fejteliści „Głosu Lubelskiego” i zanoszący się usłużnem chwaleciem, faniastycznego łupetu (czy tylko?) polen, całkiem beztreściwy i nikomu z wyjątkiem dyrekcji teatru niepo-trzebny „muzyk-kompozyter” z „Ziemi Lubelskiej” to wszystko.

Teatr zaś idzie samopas, marnuje talenty, tuli w ramionach mierność, ochrania „laleczki”, kłania się laleczkierzom, a głowę do góry drze i dobrze mu z tem wszystkim.

Lecz szluka?

J. R.

Redaktor i Wydawca WACŁAW GRALEWSKI

Adres Redakcji: Plac Litewski 1, Drukarnia Udziałowa.

Godziny przyjęć we wtorki i czwartki od 5—6 popoł.

Drukarnia Udziałowa, Lublin, Plac Litewski 1.

Drukarnia Udziałowa, Plac Litewski,

Okladkę rysował Jan Wydra.